



.. Ewa wzywa 07...

Danuta Frey

DOM, W KTÓRYM STRASZY



ISKRY

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Danuta Frey

DOM, W KTÓRYM STRASZY



Pasiaste dzwony parasoli, zawieszane nad wejściem do kawiarni, spłwiałały od słońca. Nigdzie wokół nie znalazłem nawet skrawka cienia, gdzie mógłbym zaparkować samochód. Czuję, jak koszula przykleja mi się do pleców, pozostawiając mokrą plamę na oparciu siedzenia. Termometr we wnętrzu wozu wskazywał równo 50 stopni.

Wysiadłem z uczuciem, jakbym dopiero co wyszedł z łaźni. Wokół wisiało martwe, upalne powietrze. Idąc czuję, że miękkie asfalt przylepia mi się do podeszew butów.

Czuję także, że jestem obserwowany. Spozstrzegłem młodego kędzierzawego mężczyznę w czarnych, obcisłych, skórzanych spodniach i również czarnej siatkowej podkoszulce, który wyszedł z kawiarni i zmierzał naprzeciw.

Przez chwilę szarpnęło mną uczucie niepokoju. Minęliśmy się jednak bez słowa.

Wyglądało to wszystko całkiem normalnie, jednakże nie wolno mi było dać się zwieść pozorom.

Stanąłem w drzwiach, prowadzących z tarasu do wnętrza kawiarni, i obejrzałem się. Młodzieniec w siatkowej podkoszulce zbliżył się do mojego samochodu i tu przystanął, zapalając papierosa. Wóz, którym przyjechałem, to był biały porsche z rejestracją wiedeńską, wart co najmniej pół miliona szylingów.

Wszedłem do kawiarni, która składała się z dwóch niewielkich salek na parterze, skąd prowadziły schody na piętro. I tu, i tam było równie duszno i gorąco. Usiadłem przy jednym z wolnych stolików. Kelnerka obsłużyła mnie stosunkowo szybko. Przyniosła coca-cola i kawę i w chwilę później zostałem sam.

Dopiero teraz spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia, ale na dworze panował nadal wściekły upał. Mimo szumu wentylatora mój słuch wyłowił czyjeś kroki. Na schodach, wyłożonych bordowym chodnikiem, pojawił się kędzierzawy. Tym razem nie był sam, lecz w towarzystwie wyblakłego blondyna. Rozejrzał się bystro po sali, a kiedy jego wzrok padł na mnie, odwrócił się do swego towarzysza i szepnął mu coś do ucha. Następnie obaj zajęli stolik nie opodal, pograżając się w bezruchu.

Nadal nic się nie działo. Wyjąłem z kieszeni chusteczkę i otarłem twarz z potu. Skinąłem na kelnerkę.

— Czy jest tu telefon? — spytałem, kiedy podeszła.

— Na dole, w szatni — odpowiedziała podając mi rachunek.

Zapłaciłem. Wymoczkowaty blondyn również oderwał się od stolika i zaczął schodzić za mną po schodach. Niemal czułem na plecach jego oddech.

Nie znoszę tego rodzaju natręctwa, więc zamiast skorzystać z telefonu w kawiarni, wyszedłem na dwór i rozejrzałem się za automatem.

Blondyn był szybszy. Nagle znalazł się tuż przede mną, zastawiając mi drogę tak, że musiałem przystanąć. Ujrzałem jego bladą twarz i rybnie oczy bez wyrazu pod jasnorzęsymi powiekami.

— Dolary — rzucił w moją stronę. I jakby dla upewnienia się, że go właściwie zrozumiałem, powtórzył łamaną niemczyzną: — American dollars, schilling... Alle kaufen... Gute kurs...

— Odczep się pan — odparłem najczystsza polszczyzną z wewnętrznym uczuciem ulgi.

Wydawało mi się, że w jego rybach oczach dostrzegłem cień rozczarowania.

Teraz, kiedy odkryłem w nim jedynie banalnego handlarza walutą, mogłem go potraktować lekceważąco. W ostatniej chwili przestrzegł mnie jednak przed tym głos rozsądku. Odwróciłem się bez słowa, odchodząc w stronę zaparkowanego samochodu. Wsiadając zerknąłem w lusterko wsteczne. Blondyn stał nadal przed kawiarnią, lecz już nie sam. Obok niego pojawił się kędzierzawy, do którego blondyn szybko coś powiedział. Kędzierzawy wskazał ruchem głowy mój samochód i szybko ruszył w tę stronę.

Uznałem, że dłużej nie ma co zwlekać i mocno nacisnąłem pedał gazu, zostawiając za sobą blondyna, kędzierzawego i całą rozpaloną słońcem ulicę.

Podjechałem pod rotundę PKO, gdzie we wnękach budynku znajdowało się kilka automatów telefonicznych. W anonimowym tłumie odzyskałem poczucie bezpieczeństwa. Wykręciłem znany mi numer. W słuchawce odezwał się sygnał, ale nic więcej. Znałem jednakże jeszcze jeden numer.

Przez pewien czas i tu się nikt nie zgłaszał. Nareszcie usłyszałem dźwięk wpadającej monety i odległe, przytłumione „halo!”

— Halo! — powiedziałem również. — Mówi Piotr. Czy mogę prosić pana Kazimierza Zycha?

— Przy telefonie — rzekł głos, który nadal dochodził z daleka, zagłuszany przez wiatr ulicy i zniekształcony przez automat.

— Czekam na pana już od godziny — rzuciłem, nie tając irytacji. — Nie przywykłem do tego.

— Zaszły nieprzewidziane komplikacje — oznajmił głos w słuchawce. — Nie mogłem pana wcześniej uprzedzić.

— Czy mam rozumieć, że sprawa pana nie interesuje? — zapytałem. Tłumowi, przewalającemu się wokół rotundy i tak to nic nie mówiło.

Gwałtownie zaprzeczył.

— Skąd pan dzwoni? — chciał wiedzieć.

— Z automatu — odparłem zgodnie z prawdą.

— To dobrze — stwierdził. — Musimy

działać z maksymalną ostrożnością. O ósmej wieczorem, gdy zacznie się ściemniać, wyjedzie pan z Warszawy w kierunku na Marki. Za Pustelnikiem, nie dojeżdżając do Marek, zobaczy pan drogowskaz. Tam skręci pan w drogę w prawo. Po około pół kilometra dojedzie pan do nie wykończonego domu. Będę tam na pana czekać.

— Ależ... — usiłowałem wtrącić.

— Niech się pan nie obawia. Nikt za panem nie pójdzie, a już zwłaszcza po ciemku. To dom, w którym straszy, a ludzie boją się upiórów — roześmiał się głuchym śmiechem, który rozbrzmiewał mi w uszach jeszcze wówczas, gdy odłożył słuchawkę.

Wychodząc z kabiny odniosłem wrażenie, że na przeciwnym chodniku dostrzegam wyblakłego blondyna — tego samego, który niedawno zagadnął mnie o dolary. Lecz kiedy spojrzałem powtórnie, ten albo zmieszał się z przechodniami, albo po prostu uległem złudzeniu.

Wróciłem do „Victorii”, gdzie się przed dwoma dniami zatrzymałem. Chłodnym prysznicem zmyłem z siebie całodzienny pot i szedłem do restauracji na spóźniony obiad.

Za oknami wisiało nadal rozgrzane powietrze. Ulica dudniła hałasem samochodów, w który znowu musiałem się włączyć. Niedawny prysznic zmył ze mnie pot, lecz nie zmęczenie i wewnętrzne napięcie, które towarzyszyło mi przez cały czas jazdy do Pustelnika. Zapadł zmierzch, więc zapaliłem reflektory i zwolniłem wypatrując zapowiadanego drogowskazu.

Znalazłem go bez większego trudu. Wjechałem w boczną drogę, prowadzącą przez sosnowy zagajnik. Gdy las się skończył, ujrzałem w polu samotny budynek.

Zatrzymałem samochód i przez moment siedziałem bez ruchu. Ciemne, milczące pudełko domu nie wyglądało zachęcająco i nie bardzo chciało mi się tam iść. Nie pozostawiono mi jednak wyboru.

Z latarką w ręku zacząłem sobie torować drogę przez chaszcze chwastów. Wokół panowała ciemność. Jedynie z daleka mrugały światła i słychać było poszczekiwanie psów.

Im bardziej zbliżałem się do celu, tym częściej napotykałem pokruszone cegły, kawałki desek, żelastwo i inne resztki, pozostałe z czasów budowy. Po kilkudziesięciu metrach znalazłem się przed piętrowym, nie wykończonym budynkiem z surowej cegły. Był wprawdzie przykryty dachem, jednak jego okna i drzwi, pozbawione nawet futryn, ziały pustką.

Pomimo że obszedłem budynek dookoła, nie udało mi się dostrzec śladów czyjejkolwiek obecności. Zatrzymałem się przed gankiem i przez chwilę czujnie nasłuchiwałem. Ale i wewnątrz panowała cisza.

Oświetliłem latarką czarny prostokąt wejścia, do którego prowadziło kilka schodów z wylewanego betonu, pokruszonego i wyszczerbionego w wielu miejscach. Zanurzyłem się w otwór, za którym identyczne schody wiodły na górę — na piętro.

— Jest tam ktoś?! — zawołałem.

Odpowiedziało mi głuche echo.

Postąpiłem krok naprzód, balansując po deskach, zastępujących podłogę. Trzeszczały i ugiwały się pod każdym stąpieniem. Wszędzie wokół leżały bryły gruzu i skawalonej zaprawy murarskiej.

W szerokich szparach między deskami ziała poniżej czarna czeluść pomieszczenia, które równie dobrze mogło być piwnicą, kotłownią lub przyszyłym garażem. Nie dane mi było tego odgadnąć. Gdy postąpiłem jeszcze kilka kroków, deski się skończyły. Natomiast dwa metry niżej, na ziemi usianej okruciami cegieł i wapna, leżał jakiś człowiek.

Ukląknęłam na brzegu ostatniej z desek, pochyliłem się i zajrzałem w głąb. Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach i było to ostatnie wrażenie, które zapamiętałem, zanim spadłem w ciemność.

Ocknąłem się również w ciemności, z pulsującym bólem w tyle głowy. Ręką namacałem duży guz, potem rozcięcie na czole. Na szczęście latarka leżała w pobliżu. Potrząsnąłem nią kilkakrotnie i — o dziwo — zaświeciła.

Znajdowałem się w tym samym pomie-

szczeniu, które poprzednio widziałem z góry. W ścianach z surowych cegieł nie było ani drzwi, ani okien. Dwa i pół metra nade mną wisiały żelazne legary stropu z ułożonymi na nich w poprzek deskami.

Wokół panowała cisza.

Zdziwiłem się, że spadając na beton z tej wysokości nie skręciłem sobie karku. Nie wyszedłem jednak zupełnie bez szwanku. Dźwignąwszy się poczułem ból w kostce prawej nogi. Była obrzmiała i spuchnięta, choć sama kość wydawała się nie naruszona. Wyglądało to raczej na stłuczenie niż na złamanie, lecz ból był chyba taki sam.

Jednakże nadal żyłem. Natomiast człowiek, który leżał na podłodze, był z całą pewnością martwy.

Oświetliłem go latarką. Był to mężczyzna między czterdziestką a pięćdziesiątką. Jego nieruchome oczy patrzyły w sufit, przód koszuli ściemniał od zakrzepłej krwi. Miał wysokie czoło z czarnym znamieniem na prawej skroni, zaostrzony nos i policzki jak suchotnik.

Nie byłem w stanie określić, od jak dawna tu leżał i kiedy został zabity. Wiedziałem natomiast, kim był, choć znałem go jedynie ze zdjęcia. To z nim właśnie rozmawiałem dziś po południu przez telefon, dzwoniąc z automatu pod rotundą. On skierował mnie tutaj, do domu pod Markami, umawiając się na ósmą wieczór.

A teraz nie żył. Zauważyłem otwór włotowy kuli. Ktoś mu wypalił prosto w pierś. Obszukałem mu kieszenie. Nie znalazłem żadnych dokumentów, jedynie mały kalendarzyk z rozmaitymi zapiskami. Pod dzisiejszą datą wpisana została litera P — inicjał mojego imienia. Obok nazwa kawiarni i godzina, o której mieliśmy się tam spotkać.

A więc zapisał to, choć na spotkanie nie przyszedł i czekałem na niego próżno. Przez telefon mówił o nieprzewidzianych komplikacjach.

Komplikacje zaczynały się jednak obecnie piętrzyć przede mną, ponieważ nie zdążyłem mu przekazać sprawy, która mnie do niego sprowadziła. Jego nie obchodziło już nic.

Pozostawiłem go w wiecznym spokoju

i zacząłem myśleć, jak się stąd wydostać. Strop wisiał nade mną, ale nawet wyciągawszy rękę nie byłem w stanie dosięgnąć legaru. Wspiąłem się na palce i aż zasyczałem z bólu, który przeszył moją spuchniętą kostkę. Rozglądając się za czymś, na czym mógłbym stanąć, zauważyłem skamieniałą bryłę wapna. Była jednak zbyt krucha i od razu rozpadła się pod moim ciężarem.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko poświęcić swoją własną koszulę, zakupioną w jednym z eleganckich magazynów na wiedeńskiej Kaertner Strasse. Z bólem serca przedarłem ją na pół. Następnie obie części związałem ze sobą rękawami tak, że powstał jeden, dłuższy kawałek. Przyświecając sobie latarką podjąłem próbę przerzucenia go bądź to przez legar, bądź przez którąś z desek. Materiał okazał się jednak za krótki, a także zbyt gładki, by mi się to łatwo udało. Zsuwał się raz po raz pozostając mi w rękach i każąc powątpiewać w skuteczność dalszych wysiłków.

Nie zrażałem się jednak. Za którymś razem udało mi się przeciągnąć ową prowizoryczną linę przez jedną z belek. W mych dłoniach znalazły się oba końce materiału. Związałem je robiąc pętlę i zacząłem ostrożnie piąć się w górę.

Trwało to długo.

Wreszcie wychyliłem głowę i w świetle księżycy, wpadającym przez otwór okienny, ujrzałem to samo nie wykończone pomieszczenie, w którym poprzednio byłem. Wydostałem się na górę, zdjąłem swoją prowizoryczną linę, zwinąłem ją w kłębek i wsadziłem pod pachę. Nie mogłem tu zostawić żadnej swojej rzeczy, nic, co by zdradzało moją obecność w tym miejscu. Utykając ruszyłem w stronę, gdzie — jak pamiętałem — znajdowało się wejście. Wtedy właśnie usłyszałem zbliżający się szum samochodu. Wydawało mi się, że minął dom i pojechał dalej, lecz równie dobrze mogło to być jedynie złudzenie, brane za rzeczywistość.

Bez namysłu zeskoczyłem z ganku w dół, w największe chaszczce. Skryty w cieniu domu starałem się uczynić siebie jak naj-

mniej widocznym. Jeżeli uda mi się dotrzeć na tyły budynku, być może znajdę także drogę wyjścia z pułapki, jaką mi tu przygotowano.

Nie mogłem co prawda wtopić się w mur, ale przywarłem do niego tak mocno, że czułem, jak szorstka zaprawa spajająca cegły robi głębokie rysy na moich gołych plecach.

Wiatr przyniósł cykanie koników polnych oraz jakieś nie zidentyfikowane odgłosy i szmery, których pochodzenia nie mogłem ustalić.

Dotarłem na tyły budynku, gdzie wreszcie oderwałem się od ściany. Kilkadziesiąt metrów dalej, z boku, ciemniał sosnowy zagajnik.

Położyłem się na ziemi, czując jej wieczorny chłód. Pachniały jakieś zioła. Uniósłem głowę, lustrując otoczenie. Badyle przede mną zatrzeszczały i naraz w pewnym oddaleniu ujrzałem dwa jarzące się punkty. Coś przemknęło miękko i bezszelstnie obok mnie. Był to prawdopodobnie kot, spłoszony podczas nocnego polowania. Jednakże z każdą upływającą chwilą coraz lepiej rozumiałem tych, którzy z jakichś irracjonalnych powodów opuścili ową budowę.

Zacząłem czołgać się w stronę lasu, wlokąc za sobą bolącą nogę.

Dotarłem do pierwszych drzew. Tu wreszcie rozprostowałem obolałe ciało i ostrożnie zacząłem się przedzierać przez choinki w stronę szosy.

Pokłuty i podrapany dotarłem do samochodu. Nie było jednak czasu rozczulać się nad sobą. Musiałem się stąd ulotnić, i to jak najszybciej. Już teraz mogło być za późno.

Wierzyłem jednak w swoją szczęśliwą gwiazdę — i nie zawiodłem się. Tuż po moim wjeździe na szosę do Warszawy minął mnie milicyjny radiowóz. Był to polonez, jechał z dużą szybkością, mrugając niebieskim światłem na dachu.

Przystanąłem i obejrzałem się za nim. Spostrzegłem, że skręcił w boczną drogę, gdzie zatrzymał się przed nie wykończonym budynkiem, z którego niedawno z takim trudem się wydostałem.

Dziadek miał wyłupiaste, niebieskie oczy, siwą brodę i kraciastą koszulę. Sztynno siedział na krześle, trzymając w ręku pistolet z długą lufą. Kiedy do niego strzeliłem, wyprostował się, wychrypiał kilka zdań po angielsku i strzelił do mnie również, oblewając mnie wodą.

Zapaliły się światła. Gra była skończona. Odłożyłem wiatrówkę na ladę strzelnicy, w której zdążyłem już przepuścić sporo pieniędzy, i odszedłem na bok.

Strzelnica, którą opuściłem, znajdowała się przy promenadzie, biegnącej wzdłuż rzeki i zabudowanej niewysokimi, piętrowymi przeważnie domami. Wyżej, na skarpie, wznosił się kościół.

Był niewielki, drewniany, z barokowym wnętrzem, tonącym w brązowym półmroku. Pozłacane figury świętych, otaczające główny ołtarz, stały nieruchomo w smugach światła, wpadającego przez otwarte okna. Pod stropem wisiał drewniany żyrandol. W tej chwili całe wnętrze wypełnione było muzyką. Ktoś grał na organach, umieszczonych na chórze nad wejściem.

Zasłuchałem się przez chwilę zapominając, co mnie sprowadziło do Górskiej.

Wreszcie organy umilkły. Nade mną rozległy się czyjeś niespieszne kroki. Wyszedłem na dwór i znalazłem się dokładnie na wprost składowiska materiałów budowlanych. Stały tu przyzmy cegieł, leżały worki z cementem, przykryte zakurzoną plastikową płachtą.

Z kościoła wyszedł siwy, nieco przygarbiony ksiądz.

— Pięknie ksiądz grał — stwierdziłem ze szczerym podziwem.

— Ach... — zmieształ się trochę — ... nawet nie wiedziałem, że mam słuchacza.

Patrzył mi prosto w twarz wyblakłymi oczami.

— Pan wczasowicz? — zagadnął nie bez powodu. W końcu Górsk był miejscowością turystyczną.

— Przyjezdny — odparłem zgodnie z prawdą. — Szukam księdza proboszcza.

— To ja — odparł i po raz pierwszy w jego oczach ukazał się cień zaciekawienia. Nie wyraził go jednak głośno. Zauważył, że interesuje mnie pobliski plac budowy.

— Będziemy stawiać nowy kościół — rzekł. — Ten stary, drewniany, nie wystarcza już na potrzeby wiernych. Miejscowość się rozrasta, przybywa parafian i turystów. W niedzielę ludzie muszą słuchać mszy stojąc na dworze. Nowy kościół będzie murowany, obszerniejszy i wygodniejszy.

— Nie będzie księdzu żal tego dawnego? — spytałem.

— Może i tak — odrzekł z nutką zadumy w głosie. — W końcu tyle już lat przesłużyłem tam Bogu...

— Czy ksiądz był tu również i wówczas, gdy zdarzyła się ta głośna kradzież przed dwoma laty?

Spojrzał na mnie bystro.

— Pan z milicji? — zapytał.

— Z Wiednia — oznajmiłem. — Piotr Walczak — przedstawiłem się. I żeby rozproszyć wątpliwości, wyjąłem z portfela paszport konsularny.

Machnął przecząco ręką.

— Nie trzeba! Nie trzeba! Może przejdziemy na plebanie? — zaproponował. — Pan pewnie z jakimś interesem...

Plebania mieściła się w białym piętrowym budynku, z którego okien rozciągał się widok na góry za rzeką, porośnięte lasem i poprzecinane prostokątami łąk.

Sama kancelaria parafialna, do której zostałem wprowadzony, była niewielkim pomieszczeniem z ciemną szafą, dużym biurkiem i kilkoma krzesłami z wysokimi oparciami.

Proboszcz wskazał mi jedno z nich. Sam usiadł za biurkiem.

Z aktówki, którą przyniosłem ze sobą, wyjąłem sztywne kolorowe zdjęcie i położyłem je na blacie biurka.

— Czy ksiądz to poznaje?

Sięgnął do kieszeni sutanny po okulary. Przez dłuższy czas przyglądał się fotografii. Czekałem cierpliwie. Nareszcie podniósł głowę i przetarł czoło.

— Nie mam wątpliwości — rzekł. — To srebrna figura świętej Barbary, ufundowana dla tutejszego kościoła w roku 1723 przez górników w podzięce za troskliwą opiekę. Proszę spojrzeć, na bryle srebra, trzymanej w dłoni świętej, zachował się jeszcze odpowiedni łaciński napis. Srebro wydobywano w okolicznych kopalniach aż do końca XVIII wieku. Dopiero później pokłady się wyczerpały.

— A ta figura? — spojrziałem pytająco. — Co się z nią stało?

— Przechodziła różne koleje losu. W czasie okupacji została zakopana nie opodal kościoła i w ten sposób uratowana przed wywiezieniem lub zniszczeniem. Później stała przez cały czas w osobnej kaplicy. Aż do chwili, kiedy została skradziona.

— Jak to się mogło stać? — spytałem. — Czy kościół nie był zabezpieczony?

Ksiądz pokiwał smutno głową.

— Ależ był! Tylko że nie była to niestety zwyczajna kradzież. Skradziono figurę świętej Barbary, srebrny krucyfiks, pochodzący z tego samego mniej więcej okresu, dwa srebrne lichtarze oraz wota, składane od dziesiątków lat przez wiernych. Ale razem z nimi zniknął również nasz organista. A był to człowiek, którego darzyłem całkowitym zaufaniem.

— Kiedy to się stało?

— Dwa lata temu, w sierpniu. Wyjechałem wówczas z grupą księży i sióstr zakonnych do Rzymu. W spełnianiu obowiązków duszpasterskich zastępował mnie wikary. Jemu też powierzyłem komplet kluczy do kościoła oraz do pancernejszej szafki, w której przechowywaliśmy krucyfiks. Okna kościoła były zabezpieczone kratami. Codziennie wieczorem wikary miał obowiązek sprawdzać, czy czasem w kościele ktoś nie pozostał, nie ukrył się. Drugi komplet kluczy pozostawiłem organiście, Czyżewskiemu — tak brzmiało jego nazwisko. Pewnego razu wikarego wezwano niespodziewanie do umierającego parafianina. Organista wyszedł wieczorem sprawdzić i zamknąć kościół. Od tamtej pory nikt go już więcej nie widział. Był to człowiek mieszkający samotnie, a wikary wrócił późno w nocy. Kradzież odkryto dopiero

nazajutrz rano. Wikary idąc na poranną mszę spostrzegł, że drzwi do kościoła są otwarte. Gdy wszedł, zobaczył, co się stało... Milicja stwierdziła, że skradzionych przedmiotów nie mógł unieść jeden człowiek. Figura świętej Barbary, wykonana z litego srebra, była bardzo ciężka... Musiało tego dokonać co najmniej dwóch, o ile nie więcej ludzi. Stwierdzono również, o czym zostałem później oficjalnie poinformowany, że sprawcy kradzieży użyli samochodu do przetransportowania łupów. Nie był to jednak samochód organisty. Jego mały fiat stał nadal przed domem. Zniknął jedynie właściciel. Milicja poszukiwała go bezskutecznie przez wiele miesięcy. Jednakże jak dotychczas nie udało się wpaść na żaden konkretny ślad. Nie powiedziano mi tego co prawda wyraźnie, lecz dano do zrozumienia, że Czyżewski musiał być co najmniej współsprawcą, o ile nie wręcz inicjatorem kradzieży. Do dziś nie mogę w to uwierzyć! — wziął jeszcze raz do ręki fotografię. — Ale po co ja panu to wszystko opowiadam? Zanudzam pana jedynie szczegółami, podczas kiedy pan przyjechał tu do mnie zapewne w jakimś konkretnym celu... — rzucił mi pytające spojrzenie. — Czy mógłbym wiedzieć, skąd pan ma to zdjęcie?

— Będzie ksiądz zaskoczony: z katalogów.

Rzeczywiście był i wcale tego nie ukrywał.

— Z katalogów aukcyjnych — dodałem. — Widzi ksiądz, z wykształcenia jestem historykiem sztuki, z zawodu natomiast marszandem — pośrednikiem. Kupuję, sprzedaję, na własny i klientów rachunek, rozmaite przedmioty sztuki: stare meble, porcelanę, przedmioty domowego użytku, niekiedy jakieś rzeźby, posążki, obrazy... Co się trafi... No i tak właśnie natrafiłem przypadkowo na świętą Barbarę... Wystawić ma ją wkrótce na sprzedaż — dorzuciłem po chwili — jedna z małych firm aukcyjnych, jakich teraz pełno w Wiedniu. Więcej w nich co prawda zwykle różnych niewiele wartych staroci niż prawdziwych antyków. Ale przypadkiem mogą się zdarzyć i rarytasy. Dlatego przeglądam regularnie ich katalogi.



No i tak właśnie natknąłem się na świętą Barbarę.

Proboszcz pokręcił głową.

— Wprost niewiarygodne — rzekł. — Święta Barbara, skradziona w naszym kościele, znajduje się naraz w Wiedniu! Jak tam trafiła i dlaczego nasze władze nie podjęły dotychczas odpowiednich kroków, ażeby ją odzyskać?

Uśmiechnąłem się z pobłażaniem.

— Na to pytanie już ksiądzu nie odpowiem. Prawdopodobnie z powodu niewiedzy. Prawie codziennie odbywają się w Wiedniu różne aukcje, na których wystawiane są dzieła sztuki. Nie sposób tego stale śledzić i sprawdzać. Mogą to czynić jedynie ludzie bądź związani z tym zawodem, bądź szczególnie zainteresowani.

— Tacy właśnie jak pan?

— Powiedzmy. Poza tym warto wiedzieć, że antyki, nawet jeżeli rzeczywiście zostały skradzione, bywają zaopatrywane niekiedy w różne fałszywe metryki i świadectwa, co utrudnia lub wręcz uniemożliwia stwierdzenie, skąd właściwie pochodzą. Nieraz trzeba dużego wysiłku, albo po prostu trafu, by na to wpaść.

— Jak więc pan się zorientował? — zapytał proboszcz. — Bo musiał się pan przecież zorientować, skoro pan aż tutaj przyjechał, prawda?

Jego oczy patrzyły badawczo. Zrobiło mi się trochę nieswojo.

— Jako człowiek interesu — odparłem — nie mogę sobie pozwolić na kupno czegokolwiek bez upewnienia się, że nie mam do czynienia z fałszyfikatem albo przedmiotem skradzionym. Byłoby to dla mnie zbyt duże ryzyko — materialne i zawodowe. A jak trafiłem tutaj, do Górską? No cóż, widzi ksiądz, każdy dobry fachowiec musi mieć swoje kontakty, także międzynarodowe, z których korzysta w razie potrzeby.

Pomyślałem o Zychu i o spotkaniu, które nie doszło do skutku, co tak skomplikowało mi sprawę. I dodałem:

— Więcej powiedzieć nie mogę.

— Mam jednak nadzieję... — proboszcz zawahał się — ...że to nie nasz...

— Organista? Ależ skądże! Zapewniam księdza, że nie! Prawdę mówiąc słyszę

o nim po raz pierwszy i nawet nie wiem, jak ten człowiek wygląda.

— A może chciałby pan jednak zobaczyć jego fotografię? Słyszałem kiedyś, że podobno żyje gdzieś pod fałszywym nazwiskiem w Bieszczadach. Że komuś mignął w przelocie na ulicy w Warszawie. A także że wyjechał za granicę, gdzie urządził się za pieniądze, pochodzące ze sprzedaży skradzionych przedmiotów. Muszę się z góry zastrzec, że nie wierzę w żadną z tych informacji, ale...

Jednak do końca nie był chyba tego taki pewien, skoro podszedł do stojącej pod ścianą ciemnej masywnej szafy i po chwili wyciągnął z szuflady jakieś zdjęcie. Przedstawiało niepozornego mężczyznę o wysoko sklepionej czaszce i rzadkich, przyklejonych jakby do skóry włosach, siedzącego przy klawiaturze organów. Jego oczy ginęły za okularami o grubych szklach w staromodnej, drucianej oprawie, jakich się już dziś nigdzie nie spotyka.

— Nie — powiedziałem z pewnością w głosie — nie znam tego człowieka. Nigdy go nie widziałem.

Proboszcz, takie przynajmniej odniosłem wrażenie, odetchnął z ulgą. Schował fotografię, jednak cała sprawa musiała go chyba nadal gnębić, skoro powtórzył:

— Nie wierzę w żadne pogłoski, zwłaszcza że znam ich źródło. Widział pan może tę, pozał się Boże, naszą miejscową atrakcję, za jaką uchodzi strzelnica z blaszonym kowbojem?

Przytaknąłem, choć oczywiście ani przez chwilę nie miałem zamiaru się przyznać, co tam robiłem.

— Obok strzelnicy jest kawiarnia, do której lubią zachodzić wczasowicze, zwłaszcza aktorzy ze swojego domu wypoczynkowego. Nieraz słyszałem, że jest tam podobno jakaś „niepowtarzalna” atmosfera. Nie podzielam co prawda tej opinii, no, ale cóż, ludzie mogą mieć w końcu różne upodobania. Mojemu organście pewnie również się tam podobało, skoro także bywał w „Szarotce”, bo tak brzmi nazwa owej kawiarni. Był zresztą, jak już mówiłem, człowiekiem samotnym i ciągnęło go od czasu do czasu do ludzi. Z przykrością muszę jednak stwierdzić, że właśnie ka-

wiarnia i strzelnica, gdzie się stale gromadzą miejscowi i przyjezdni, stanowią rozsądnik wszelkich plotek.

Pomyślałem, że to jest właśnie coś, czego mi obecnie najbardziej potrzeba, i już chciałem się pożegnać, gdy proboszcz zatrzymał mnie pytaniem:

— No więc teraz, kiedy pan już wie, że rzeźba świętej Barbary, która znalazła się jakimś sposobem w Wiedniu, została skradziona z naszego kościoła, co pan zamierza uczynić dalej?

Odparłem enigmatycznie, że natychmiast po powrocie do Wiednia zawiadomię, kogo trzeba.

Proboszcz zdziwił się i najeżył.

— Myślałem, że prosto stąd pojedziemy razem zawiadomić milicję...

— Milicję? — powtórzyłem z nieprzyjemnym zaskoczeniem. — Czy ksiądz chce wszystko popsuć i nigdy już nie odzyskać rzeźby?

— Ale przecież... — usiłował coś wtrącić.

Nie dałem mu dojść do słowa.

— To, że figura świętej Barbary znalazła się w katalogu, wcale jeszcze nie oznacza, że wiadomo, gdzie się ona naprawdę znajduje. Wystarczy drobna nieostrożność, zbyt pochopne działanie — a rzeźba znika. I na przykład pojawi się w Ameryce Południowej, gdzie nikt już nigdy nie dojdzie, skąd się tam wzięła. Ksiądz rozumie?

Zasepił się i zaczął się zastanawiać. Nie byłem pewien, czy go przekonałem, jednak miałem nadzieję, że będzie się zastanawiał dostatecznie długo, aby dać mi jeszcze trochę czasu.

Wyszedszy z plebanii skierowałem się w stronę, gdzie obok strzelnicy miała znajdować się kawiarnia „Szarotka”.

Nad górami nadal wisiały ciemne, deszczowe chmury. Nad rzeką, mętną, brudną i wezbraną, ujrzałem ledwie kilka osób, obserwujących stale przybierający nurt. Natomiast w strzelnicy było pełno. Paliły się światła, huczała muzyka rockowa — jakże inna od tej, której niedawno słuchałem w kościele.

Przy ladzie, za którą sikał wodą z pistoletu brodaty kowboj, pohukiwała sowa, kwakała mechaniczna kaczką, a z otworu na suficie wynurzał się zakrwawiony tors mężczyzny, stało kilku rodzimych punków z włosami zlepionymi syropem, dwie podobnie wyglądające dziewczyny z długimi kolczykami w uszach, paru chwiejących się na nogach pijaków i miejscowy idiota, chichoczący co chwila głupkowato.

Kawiarnia „Szarotka” robiła daleko sympatyczniejsze wrażenie. Na wysokiej ladzie królował błyszczący niklowany ekspres do kawy. Była również chyba i kawa, skoro jej zapach uderzył mnie w nos zaraz po wejściu.

Za ladą królowała apetyczna brunetka o bystrych oczach i zwawych ruchach, a za jej plecami, na półkach, stały duże fajansowe kufle do piwa i wisiały tarce strzelnicze. Takie same tarce wisiały również na ścianach, wyłożonych po części surowymi deskami, po części tapetą imitującą cegłę. Ujrzałem również motywy ze strzelnicy, powycinane z blachy i pomalowane na jaskrawe kolory, wśród nich, rzecz jasna, starego kowboja.

Przypominało to wnętrze jarmarcznej budy i pewnie to właśnie miał na myśli proboszcz, mówiąc o nastroju, przyciągającym tu gości.

W tej chwili panował tłok, który był mi jak najbardziej na rękę.

Prowadzony zaciekawionymi spojrzeniami dotarłem do bufetu. Zamówiłem kawę i zagadnąłem brunetkę:

— Dawno tu taka zła pogoda?

— Od dwóch dni — rzuciła lakonicznie, nawet się nie siląc na jakiś uprzejmiejszy ton. Z taką samą obojętnością uruchomiła ekspres. W różowej obcisłej bluzce wyglądała wcale ponętnie. Miała około trzydziestki, gładką opaloną twarz o regularnych rysach i klamarki w kształcie stokrotek w długich ciemnych włosach. Zauważyłem także, że nie nosi obrączki, jedynie kilka złotych pierścionków, z których zwłaszcza jeden był dobrej roboty. Przypomniała mi się biżuteria, którą kiedyś robił facet o przydomku „Jubiler”. Było to jednak dawno, zanim nie zajął się

czym innym. Teraz Jubiler siedział, a ja musiałem ciągnąć całą robotę.

— Macie tu jakiś koniak? — zapytałem tonem bywalca. Przypomniała mi się kawiarnia Sachera w hotelu o tej samej nazwie w pobliżu opery. I mała restauracyjka nie opodal hotelu „Kaiserin Elisabeth”, gdzie również zdarzało mi się od czasu do czasu bywać. Przez moment zატęskniłem nagle do tamtej atmosfery i do tamtego miasta, jakże różnego od wszystkiego, z czym miałem do czynienia tutaj.

— Może być armeński, bułgarski, francuski...

— No, no — zdziwiłem się — taki tu wybór? Więc proszę francuski. Ale tylko dwadzieścia pięć gramów. Jestem samochodem.

— Ten biały porsche z austriacką rejestracją to pana? — spytała i po raz pierwszy od początku rozmowy obdarzyła mnie większym zainteresowaniem. Widocznie albo sama zauważyła, jak parkowałem wóz pod kawiarnią, albo też ktoś już zdążył jej o nim powiedzieć. W takiej dziurze jak Górsk wiadomości na pewno muszą się szybko rozchodzić.

— Mhm — mruknąłem. — Na stałe mieszkam w Wiedniu.

— Bajer — powiedziała. — Austriak, a gada jak rodowity Polak. Wciskaj tę bajeczkę, kolego, komu innemu.

— Kto mówi, że Austriak? — zaproponowałem. — Nigdy pani, królowno, nie słyszała o rodakach, którym, jak choćby mnie właśnie, udało się zostać za granicą i dojść tam do forsy, do jakiej nigdy by nie doszli tutaj?

Prychnęła kpiąco.

— A teraz przyjeżdżają do ludowej ojczyzny tylko po to, ażeby dać się tu capnąć i nigdy już z powrotem nie wyjechać, co?

— Złotko, zawsze powtarzam, że takie piękne jak pani kobiety w żadnym wypadku nie powinny się wtrącać ani do polityki, ani do interesów. Bozia stworzyła je do zupełnie czegoś innego. A ja, przysięgam, należę do facetów, którzy potrafią to docenić. Sama się pani może o tym przekonać.

— A konkretnie?

Udałem, że się zastanawiam.

— Na przykład — rzuciłem — mała przejażdżka do Krakowa. Powiedzmy, wieczór w „Novotelu”, obiad u Wierzyńska, kawa u Hawelki. Wieczorem jest pani znowu w Górsku, odstawiona na miejsce.

Przez chwilę jakby ją zamurowało, lecz zaraz odzyskała utraconą na moment pewność siebie.

— Podziwiam pańską znajomość Krakowa — powiedziała — i domyślam się, że pewnie nie raz już się panu przydała... Ale nie.

— Dlaczego?

— Powiedzmy, że pracuję i nie mogę się wyrwać. Albo mam kogoś. Albo że mi się pan po prostu nie podoba. Lub zwyczajnie mi się nie chce.

Miała swoje zdanie i wcale się z tym nie kryła.

Nie pozostawało nic innego, jak się z honorem wycofać. Uczyniłem to, zostawiając jednak furtkę. Sięgnąłem do kieszeni po wizytówkę, na której jednak przezornie nie było adresu, a tylko moje wiedeńskie zajęcie i telefon, pod którym obecnie dyżurował w Wiedniu mój współpracownik.

— Na wszelki wypadek, gdyby pani zmieniła zdanie... Tu jest moja wizytówka. Zatrzymałem się w hotelu „Pod Orłem”. Pokój trzysta pięć, numer telefonu ten sam, co numer pokoju...

Nie zdążyłem dokończyć. Usłyszałem hałas otwieranych gdzieś drzwi, zafalowała zasłona z drewniek, oddzielająca bufet od zalepcza i wyrżał zza niej mężczyzna, którego pospolita twarz wydała mi się znajoma.

— Baśka! — zawołał. — Chodź no tu na chwilę!

Wychylił się jeszcze bardziej i wówczas mnie dostrzegł. W jego oczach odbiło się nieprzyjemne zaskoczenie. Z taką samą niechęcią na twarzy postąpił jeszcze krok. Niespodziewanie jednak zawahał się i tylko gestem przywołał powtórnie barmankę.

Dopiero kiedy zniknęła za zasłoną, zostawiając mnie sam na sam z niemiłym rozczarowaniem, przypomniałem sobie, że tego właśnie mężczyznę spotkałem niedawno w strzelnicy. Objął kogoś zasady gry i był tu widać postacią popular-

na, skoro słyszałem, że zwracano się do niego powszechnie po prostu jako do „pana Janka”.

Odszedłem od bufetu, pozostawiając celowo na ladzie nie tknięty kieliszek koniaku. Wziąłem jedynie filiżankę kawy i niosąc ją w ręce posterowałem w głąb kawiarni.

Dosiadłem się do stolika, przy którym dwa miejsca były już zajęte przez tę blondynkę z furą poskręcanych loczków i chudą brunetkę o przylizanych włosach. Obie miały na pewno powyżej pięćdziesiątki i obie także były identycznie jaskrawo umalowane. Na stoliku leżała przed nimi gazeta z jakimś artykułem, nad którym żywo dyskutowały. Zerknąłem ponad ich głowami i przeczytałem: *Vendetta w srebrnym gangu? Tajemnicze morderstwo w domu, w którym straszy.*

Poprosiłem o pożyczenie pisma i przeleciałem pospiesznie tekst, napisany gazetowym żargonem.

Anonimowy rozmówca zawiadomił wieczorem telefonicznie milicję, że w nieukończonym budynku, na posesji między Markami a Pustelnikiem pod Warszawą, dokonano morderstwa. Dom ten cieszy się wśród okolicznej ludności złą sławą jako dom, w którym straszy. Z tych też względów zaniechano jego dalszej budowy i stoi on nie zamieszkały.

Po przybyciu na miejsce funkcjonariusze MO odkryli w piwnicy budynku zwłoki mężczyzny, zabitego strzałem z pistoletu. Zamordowanym okazał się 53-letni Kazimierz Zych, rzemieślnik, znany pod pseudonimem „Introligator”, karany poprzednio za paserstwo.

Milicja prowadzi intensywne śledztwo. Istnieje hipoteza, że zabójstwo Kazimierza Zycha mogło być wynikiem porachunków w tak zwanym „srebrnym gangu”. W ostatnich tygodniach aresztowany został w Katowicach jeden z przypuszczalnych członków tej, jak podejrzewa milicja, szeroko rozgałęzionej grupy. Jest to 48-letni Wacław N., posługujący się pseudonimem „Jubiler”. Utrzymywał on kontakty między innymi z Kazimierzem Zychem. Przypuszcza się, że właśnie Zych zajmował się sprzedażą skradzionych przedmiotów oraz

był jednym ze współorganizatorów przemytu tych przedmiotów za granicę. Jak się podejrzewa, to właśnie „srebrny gang” organizuje zakrojony na szeroką skalę skup srebra, kradzionego w zakładach przemysłowych, oraz jego przetop, przemyt i nielegalną sprzedaż zagranicznym odbiorcom. Srebrny gang stoi też prawdopodobnie za serią włamań do kościołów, podczas których łupem złodziei padają głównie wszelkiego rodzaju przedmioty ze srebra, ale również inne cenne dzieła sztuki. Przypominamy, że jednym z głośniejszych wypadków tego typu była dokonana przed dwoma laty kradzież srebrnej figury świętej Barbary oraz cennych srebrnych świeczników z kościoła parafialnego w Górsku. Na ujawnienie nazwisk zezwolił prokurator.

Nie napisano tu na szczęście nic, co mogłoby mnie zaniepokoić.

Zamyśliłem się przez chwilę nad otwartą gazetą, a kiedy chciałem ją zwrócić, zorientowałem się, że moje towarzyszkę gdzieś zniknęły, pozostawiając mnie samego.

Położyłem pismo na stoliku i rozejrzałem się po salce kawiarni, gdzie wczasowicze wydawali się być przemieszani z miejscowymi.

Od bufetu, na którego ladzie stał nadal mój kieliszek, oderwał się starszy mężczyzna o długiej, kostycznej twarzy. Nosił muszkę w grochy i poruszał się z godnością dżentelmena, albo człowieka, którego dotknął reumatyzm. Zauważyłem bowiem w jednej z jego rąk laskę. Wyróżnie musiał obserwować mnie wcześniej, skoro obecnie zmierzał w moją stronę.

Zaniepokoiłem się przez chwilę, zadając sobie pytanie, czy go znam. Jego twarz nie była mi bowiem obca.

Okazało się, że znam ją jedynie z filmu i telewizji, ale sprzed dobrych paru lat. Miałem przed sobą dość popularnego ongiś aktora. Przystanął przy moim stoliku i niby bez żadnej ukrytej intencji zapytał:

— Czy któreś z tych miejsc jest wolne?

— Oczywiście — zapewniłem. I przesunąłem jedno z krzesel w jego stronę.

Powtórnie odniosłem wrażenie, że nie

przyszedł tu przypadkowo, lecz w jakimś określonym celu, którego nie umiałem na razie rozszyfrować. Pił kawę w milczeniu, przechylając charakterystycznym ruchem głowę. Długi nos i zapadnięte policzki sprawiły, że z profilu przypominał staroego sępa. Wyciągnął z kieszeni srebrną papierośnicę z wypukłym wzorem na pokrywce i poczęstował mnie papierosem. Sam również zapalił, obserwując z uwagą moje ruchy, nadal sztywno wyprostowany.

Zacząłem się już czuć nieswojo, gdy naraz zapytał:

— Po co pan właściwie przyjechał do Górskiej?

Skóra na jego twarzy była sucha, napięta, a kiedy mówił, marszczyła się wokół ust jak rękawiczka.

— A pana co to obchodzi?

— Przepraszam — zreflektował się — może to rzeczywiście wypadło niezręcznie i zbyt obcesowo, ale krążą na pana temat różne pogłoski. Najpierw widziano pana na strzelnicy, potem w kościele... Ksiądz proboszcz zaprosił pana na plebanię, teraz jest pan tutaj. Pana samochód ma rejestrację austriacką, natomiast pan znakomicie mówi po polsku. Ludzi to wszystko intryguje.

— Pana również?

— Dość już tu mieliśmy różnych sensacji — odparł wymijająco.

— Wkrótce wyjeżdżam — obiecałem. — Czy pan tu stale mieszka?

— Tak — odparł pospiesznie. — Czemu to pana interesuje?

— Ponieważ oglądałem pana kiedyś w wielu filmach i prawdę mówiąc nie spodziewałem się, że...

Nie pozwolił mi dokończyć.

— Że co? Że na stare lata zaszyję się w dziurze w rodzaju Górskiej? To pan miał na myśli?

— Mniej więcej.

— Nie muszę się panu oczywiście tłumaczyć, ale powiem po prostu: pochodzę stąd, tu mieszkałem przez wiele lat, zanim wyjechałem robić aktorską karierę — i tu wróciłem złożyć swoje kości, gdy przyjdzie na mnie pora.

A więc musiał z pewnością znać wszystkich i wiele wiedział. Prędzej czy póź-

niej dowie się i o mojej rozmowie z proboszczem.

— Pośredniczę w handlu przedmiotami sztuki — powiedziałem. — Doszła mnie wiadomość, że ktoś właśnie tutaj, w Górsku, miał mieć na sprzedaż jakieś antyki. Ścisłej mówiąc dwa srebrne żydowskie siedmioramienne lichtarze z dziewiętnastego wieku, tak zwane menory.

Aktor machnął ręką.

— Wiem, wiem, co to są menory. Nie musi mi pan tłumaczyć. Przed wojną była w Górsku niewielka żydowska synagoga i jeszcze pamiętam, jak będąc małym chłopcem razem z innymi zaglądałem do niej z ciekawością... Ale, wracając do tematu — kto miał mieć te świeczniki? Zna pan nazwisko?

— W tym sęk — odparłem. — A i sama informacja nie jest specjalnie nowa. Dotarła do mnie z opóźnieniem, a potem jeszcze opóźnił się i mój przyjazd. Miałem się skontaktować w Warszawie z pewnym człowiekiem i on miał mi podać dokładniejsze dane. Tymczasem kiedy przyjechałem, okazało się, że niespodziewanie zmarł. Zostałem na lodzie. Pomyślałem, że może sam już tutaj, na miejscu, dowiem się czegoś więcej. Mówił pan, że pan stąd pochodzi, więc pewnie zna pan tu wiele osób. Gdyby pan ewentualnie coś wiedział... Potrafię się odwdziżyć za przysługę... Tu jest moja wizytówka. Zatrzymałem się w hotelu „Pod Orłem”, skąd wracam jeszcze na kilka dni do Warszawy. Mam tam zamówiony pokój w „Victorii”, więc łatwo mnie odnaleźć.

— Oczywiście — rzekł ze zrozumieniem. — Jeżeli tylko będę coś wiedział... Na razie nikt mi jakoś nie przychodzi do głowy. Pojęcia nie mam, kto w Górsku mógłby mieć srebrne świeczniki. Ale — kto wie? Ludzie raczej nie lubią się chwalić swoim stanem posiadania. — Chwilę jeszcze coś rozważał. — A może... — mruknął nagle. — Jak dawno pan o tym słyszał? Kiedy dostał pan wiadomość o świecznikach?

Wzruszyłem ramionami.

— Rok temu, a może dawniej...

— A dwa lata by pasowały? — zagadnął.

— Może...

Przysunął się bliżej.

— Bo wtedy mógłby wchodzić w grę na przykład tutejszy organista. Zdaje się, że miał trochę jakichś sreber w domu. Mógł mieć i świeczniki. Ale głowy nie dam — zastrzegł się. — Był samotnikiem i prawdę mówiąc nikogo właściwie nie przyjmował. Mało kto u niego bywał.

— Dlaczego mówi pan o nim w czasie przeszłym? Czy już tu nie mieszka?

— To pan nic nie wie? — zdumiał się. — Przecież to było takie głośne w swoim czasie! Ach, tak — zorientował się — przecież pan był za granicą...

I opowiedział mi jeszcze raz historię, którą już znałem z relacji proboszcza.

— Gdy jednak później przeszukiwali jego mieszkanie, nie znaleziono tam właściwie nic wartościowego. I żadnych sreber. Ale kto go tam wie? Może wszystko zdążył ukryć gdzie indziej? To był dziwny człowiek. Wie pan, nigdy go tu nikt nie umiał rozgryźć. Bo niby z jednej strony milczek i samotnik, a z drugiej — ciągnęło go do ludzi. Potrafił godzinami stać obok strzelnicy, słuchać, co ludzie gadają, a i godzinami także przesiadywać w kawiarni. Bóg jeden wie, jakie myśli mogły mu wówczas przychodzić do głowy. Bywały z kolei dni, kiedy szedł do kościoła i grał, grał na organach, chociaż go nikt nie słuchał. Pan Janek mówił, że podobno także i w wieczór poprzedzający wykrycie kradzieży dochodziły z kościoła dźwięki muzyki. Widocznie więc również i wtedy tam był.

— Pan Janek to kto? Może on mógłby mi udzielić jakichś bliższych informacji?

Przez chwilę milczał, jakby się zastanawiając, co odpowiedzieć.

— Może i tak... — rzekł wreszcie. — Musi się pan z nim osobiście skontaktować. Nazywa się Jan Brylak. Jest właścicielem strzelnicy i tej kawiarni. Człowiek niezmiernie towarzyski, całkowite przeciwieństwo organisty. Przyjechał wprawdzie do Górska dopiero przed paroma laty, ale nadzwyczaj szybko się zaaklimatyzował. I chyba nie ma dziś w okolicy nikogo, kto by go nie znał. Jest szalenie popularny. Jego interes nieźle prosperuje, ruch

ma stale duży. Wybudował sobie dom, ma samochód i młodą ładną żonę. Czego jeszcze chceć od życia?

— A tę brunetkę za barem też pan zna? — zagadnąłem widząc barmankę wyruszającą się zza zasłony.

Niespodziewanie ożywił się.

— Panią Basię? A jakże! To siostra pana Janka. Do niej formalnie należy kawiarnia.

— Mężatka?

— O ile wiem — rozwódka. Wpadła panu w oko, co?

— Ma coś w sobie — stwierdziłem z pełnym przekonaniem.

— Nie pan jeden tak myśli. Ma kobieta wzięcie u mężczyzn.

— I nikogo na stałe? — zdziwiłem się.

— A, jakoś na razie nie. Kiedyś bywał tu często pewien aktor. Kiepski aktor, nawiasem mówiąc. Nazywał się Bolesta. Adam Bolesta — może panu obilo się kiedyś o uszy jego nazwisko? Trochę plotkowano na ich temat, ale później jakoś przestano widywać ich razem. Widać nie wypaliło...

— Pański kieliszek! — rozległ się naraz czyjś głos.

Nie należał on niestety do ponętnej barmanki — na co skrycie liczyłem — ale do mężczyzny, który ją poprzednio wywoływał na zaplecze.

Wydał mi się nieco starszy od barmanki, lecz jeśli nawet przekroczył trzydziestkę, to niedawno. Miał szerokie bary i nosił obcisłą koszulę w kratę z rozpiętym kołnierzykiem, czarną chustkę, obwiązaną wokół szyi i dżinsy z mnóstwem metalowych nap. Wyglądał jak syn brodatego kowboja ze strzelnicy, tyle że nie miał brody.

Postawił przede mną kieliszek z wprawą kelnera.

— Można? — zapytał i nie czekając na odpowiedź przysiadł się.

Stary aktor, z którym dotychczas rozmawiałem, spojrzął na zegarek.

— No, na mnie już czas — oznajmił. Wyciągnął suchą, żyłastą dłoń i odszedł stukając laską.

— Przepraszam, że przeszkadzam — powiedział mężczyzna w koszuli w kratę. —

Nazywam się Brylak, dla pana po prostu Janek. Widziałem pański wóz i ciekawi mnie, ile też trzeba wybulić za granicą za takie cudo?

Podąłem mu przybliżoną cenę w szylingach austriackich, które szybko przeliczył na marki, marki na dolary i wyszła mu niebotyczna suma.

Mimo że już uzyskał oczekiwaną informację, wcale nie zamierzał odejść. Wyraźnie natomiast nie wiedział, jak zacząć. W pewnej chwili jego wzrok padł na pozostawioną gazetę.

— Piszą tu o kradzieży w naszym kościele. Czytał pan?

— Owszem.

— A nie napisali czasem, że to pewnie nasz organista Czyżewski albo sam prysnął z tym całym srebrem za granicę, albo też dawno już je komuś opylił i teraz zaszył się tak, że go czort nawet nie znajdzie?

— Niestety. Szkoda! — westchnąłem. — Miał mieć coś, co mnie interesuje.

Nachylił się.

— Co mianowicie? Może i ja coś wiem na ten temat?

— Srebra — odparłem. — Pośredniczę w Wiedniu w kupnie i sprzedaży antyków, dzieł sztuki, jednym słowem różnych mniej lub bardziej wartościowych staroci. Sporo moich klientów interesuje się teraz srebrem, na Zachodzie wróciła moda na srebra w domu. W cenie jest również samo srebro jako takie — przetopione lub nadające się do przetopienia. Aha... I jeszcze jedno — klientom obojętne bywa przeważnie źródło pochodzenia tych wszystkich rzeczy.

Jeżeli nie był idiotą, a na takiego nie wyglądał, musiał zrozumieć, co miałem na myśli. Nie podjął jednak wprost tematu, a tylko niespodziewanie zapytał:

— Dawno pan wyjechał z Polski?

— Pięć lat temu.

— I nie boi się pan tu przyjeżdżać?

— Wprost przeciwnie, jestem mile widzianym gościem i mogę przyjeżdżać tak często, jak zechcę. Dyktują mi to interesy. Wyjaśnienie jest proste. Od czasu do czasu miewam klientów, którzy reflektują na coś współczesnego. Powiedzmy na

obraz, biżuterię ze srebra, wyroby artystyczne ze szkła, ręcznie tkane gobeliny, ceramikę. Wszystko to jest na Zachodzie na ogół piekielnie drogie. Natomiast w Polsce, w przeliczeniu na zachodnią walutę, nieporównanie taniej. Zwłaszcza jeżeli kupuje się te wyroby bezpośrednio u samych twórców. Można wówczas dostać obraz za 50—100 dolarów. Albo stylizowany srebrny pierścionek za 10 dolarów. A ponieważ ja właśnie za tę twardą walutę kupuję, chyba sam pan rozumie, że nikt tu nie zamierza mi stawiać żadnych przeszkód.

Wyraźnie go to zbulwersowało.

— Rozumiem — rzekł. — A potem sprzedaje pan to oczywiście odpowiednio drożej w Austrii...

— Muszę przecież coś z tego mieć — odparłem. — W końcu to mój zawód.

Miał widać umysł człowieka interesu, skoro od razu zaczął kalkulować. Wyszy mu takie liczby, że w niedowierzaniu potrząsnął głową. Przy tym ruchu odsłonił na moment dużą szramę na szyi. Mimo że dawno zablizniona, odbijała od reszty skóry nieprzyjemnie różowym kolorem. Dopiero teraz pojąłem, skąd ta ozdoba w postaci zawiązanej wysoko chustki.

Widać dostrzegł moje zainteresowanie, skoro zsunął szybko chustkę na dawne miejsce i jak gdyby nic się nie stało zapytał:

— A gdyby tak nadarzyła się czasem jakaś okazja? Powiedzmy, gdybym ja sam albo ktoś z moich znajomych miał do sprzedania coś z tego, co pana interesuje?

— Najbardziej interesują mnie obecnie menory.

— Co to takiego?

— Siedmioramienne świeczniki, używane w żydowskich synagogach do oświetlania ołtarzy i pulpity modlitewnych. Przed wojną było ich w Polsce bardzo dużo, niektóre ogromnie cenne. Podczas wojny, gdy większość bożnic poszła z dymem lub legła w gruzach, porozgrabiano także i poniszczono ich wyposażenie. Udało się uratować jedynie niewielką jego część, a i ona jest dziś rozproszona po ludziach. Nie muszę wyjaśniać, że takie zachowane resztki tym bardziej są cenne — dla tych

zwłaszcza ludzi na Zachodzie, którzy czy to poprzez swoich przodków, czy sami osobiście, byli ongiś związani z Polską. I dlatego osiąga to dziś takie wysokie ceny i tak jest poszukiwane.

— Jak właściwie wygląda taki świecznik? — zainteresował się.

Narysowałem mu go na nie zadrukowanym kawałku gazety, która nadal leżała na stoliku. W moim wykonaniu wyglądał jak rozłożyste, równo przycięte drzewo o wydatnym pniu, wyrastającym z wysokiego, schodkowanego postumentu, szerszego u podstawy, natomiast zwężającego się ku górze. Od tego pnia biegło sześć równoramiennych odgałęzień.

— Na postumencie powinny być jeszcze ornamenty i inne zdobienia, wyobrażające motywy roślinne lub elementy geometryczne — wyjaśniłem. — A czasem również i wersety z Tory, świętego hebrajskiego Pięcioksiągu... Mam klienta, który szuka takich świeczników i skłonny jest zapłacić za nie wysoką cenę. Zwłaszcza jeżeli będą to duże, ciężkie menory ze srebra. Wysokie, masywne, z wieloma zdobieniami, mające dużą wartość historyczną i artystyczną. Doszły mnie w Wiedniu wiadomości, że w posiadaniu kogoś w Polsce znajdują się dwie takie srebrne menory z XIX wieku, i że ten ktoś skłonny byłby pertraktować na temat ich sprzedaży. Niestety, mimo usilnych poszukiwań w środowiskach kolekcjonerskich nie udało mi się jakoś dotychczas trafić na jego ślad. Może zresztą wskazówki, które przywiozłem z Austrii, okazały się niedokładne i niewystarczające...

— Rozejrzę się — obiecał. — Popytam wśród znajomych. A nuż będę miał więcej szczęścia i natrafię na coś takiego? — umieścił skrawek gazety z rysunkiem świecznika w kieszeni koszuli. — Tylko na to pan reflektuje? — zapytał.

— Nie tylko. Na to szczególnie, ale także na różne inne, mniej i bardziej wartościowe przedmioty, przede wszystkim ze srebra.

— A cena? — zapytał.

— Trzysta, czterysta dolarów za kilogram czegoś, co nadaje się jedynie na

przetop. Inne rzeczy — w zależności od wartości.

— I sam pan zamierza to wszystko przewieźć potem przez granicę?

Spojrzałem na niego karcąco.

— Niech to pana raczej nie zajmuje.

Pojął natychmiast.

— Oto mój adres — powiedziałem. — Zatrzymałem się w hotelu „Victoria” w Warszawie. Myślę, że pobędę tam jeszcze około tygodnia. Można mnie złapać telefonicznie codziennie od szóstej do siódmej wieczorem. Gdyby mnie nie było, wiadomość przyjmie recepcja. W Wiedniu mam skrytkę pocztową — wyjąłem z portfela kartonik o rozmiarach wizytówki, na którym widniało moje imię i nazwisko oraz numer skrytki na wiedeńskiej poczcie głównej. — Wystarczy dać znać, a ktoś się z panem skontaktuje.

Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem i wsunął kartonik do kieszeni koszuli.

— Nie wypił pan swojego koniaku — zauważył.

— I już nie zdążę. Spiesz mi się, a nie chcę siadać za kierownicą tuż po alkoholu.

— Racja! — szybko wstał, ja również.

Kiedy przechodziłem obok bufetu, czarnowłosa barmanka była pogrążona w rozmowie z jakimś wysokim chudzielcem w okularach i nie zaszczyciła mnie nawet spojrzeniem.

---

### III

---

Zdążyłem zjeść kolację w hotelowej restauracji i wrócić na górę do pokoju, gdy zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

— Tu Barbara z kawiarni „Szarotka”.

Wcale się nie potrzebowała przedstawiać. I tak ją poznałem po głosie. Choć po odprawie, jaka mnie wcześniej spotkała, nie spodziewałem się, że jednak zadzwoni.

— Zmieniła pani zdanie? — spytałem.

— Na pana temat jeszcze jak na razie nie. Ale podoba mi się pański samochód. Mógłby pan nim podjechać pod kawiarnię



o wpół do jedenastej? O tej porze kończę pracę i będę już wolna.

— A co dalej? Na wypadzik do Krakowa trochę późno o tej porze... — zauważyłem.

Roześmiała się.

— Kraków? Mówiłam już: nie mam na to ani czasu, ani ochoty.

— Więc co?

— Myśli pan, że w Górsku brakuje atrakcji?

Nie podzielałem do końca jej pewności, lecz punktualnie o wpół do jedenastej zaparkowałem wóz pod „Szarotką”. Barbara wyszła w chwilę później. W świetle latarni, rzucającej półkolisty cień na chodnik, dostrzegłem, że miała na sobie tę samą co poprzednio obcisłą różową bluzkę, na którą narzuciła sweterek.

Kiedy usiadła koło mnie, poczułem zapach dobrych perfum.

— No i gdzie ta miejscowa atrakcja? — zagadnąłem.

— Wkrótce pan zobaczy. Proszę ruszać — zakomenderowała. — Nie będziemy tu chyba stać całą noc!

Włączyłem silnik. Mruczał tak cicho, że prawie go nie było słychać. Miałem rzeczywiście znakomity wóz i ani myślałem telepać się nim po jakichś tutejszych wersepach.

— Gdzie mam jechać?

— Do wyjazdu z miasta proszę się kierować za drogowskazami na Kraków. Potem przejedzie pan przez most i skręci w prawo pod górę.

Zrobiłem wszystko, czego sobie życzyłem. Na szczęście przez cały czas miałem pod kołami asfalt. Samochód sunął płynnie i miękko. Minęliśmy ostatnie światła i tuż za mostem wjechaliśmy w las, rozciągający się po obu stronach drogi. Wysokie drzewa wyglądały mrocznie i tajemniczo.

Rozejrzałem się. Nie było tu specjalnie miło i rozum powinien mi nakazać najwyższą ostrożność.

Zatrzymałem wóz.

— Jesteśmy już za mostem. Co teraz?

— Niech pan podjedzie kawałek dalej.

Widzi pan drogowskaz: „Góra Zamkowa — 5 km”?

Trudno, bym go nie widział, skoro

oświetlały go jasne światła reflektorów.

— To właśnie jest jedna z naszych głównych tutejszych atrakcji. Nie wiedział pan? Pod szczytem jest parking, a kilkanaście metrów wyżej ruiny zamku.

Spojrzałem z niedowierzaniem.

— I tam mamy jechać? Teraz, po nocy, drapać się do jakiegoś zrujnowanego zamku? Niby po co? Chyba nie zamierza mi pani zaprezentować jakiegoś tutejszego ducha?

Obróciła się w moją stronę.

— Czemu nie? Nie wierzy pan w duchy?

— Tylko w starych angielskich zamczyskach — odpowiedziałem żartobliwie — gdzie mają rzeczywiście prawdziwe pole do straszenia. Romantyczną scenerię, stare, grube mury, tajemnicze baszty i ogromne, puste komnaty, które z nagłą wypełnia echo czyichś kroków. Ale tutaj?

Widać musiał ją zirytować mój kpiarski ton, skoro natychmiast zaatakowała:

— Tak pan myśli? Myli się pan! Wcale nie potrzeba do tego żadnej, jak pan to określa, romantycznej scenerii, grubych murów czy pustych komnat. Czasem wystarczy zwyczajny dom.

Wygłosiła tę opinię z takim przekonaniem, jakby sama w nią rzeczywiście wierzyła.

— O! — powiedziałem. — A może zna pani taki dom?

— Owszem — zaperzyła się. — Co prawda nigdy tam nie byłam, ale mój znajomy opowiadał, że właśnie taki dom znajduje się w Pustelniku pod Warszawą!

Aż podskoczyłem. Czy rzeczywiście powiedziała „w Pustelniku” i czy mógł to być ten dom, o którym wcześniej mówił mi Zych? Musiałem się mieć na baczności, a już na pewno nie wolno mi było się zdradzić ze swoim zainteresowaniem.

— Ech, znajomy! — machnąłem lekceważąco ręką. — Ludzie opowiadają różne rzeczy.

— A jednak! Jest to nie wykończona willa. Jej właściciel, zazdrosny o żonę, którą podejrzewał o romans z geodetą wymierzającym teren, wbił temu człowiekowi nóż w plecy. Od tamtej pory duch zamordowanego przychodzi szukać swojego zabójcy.

Skrzywiłem się.

— Brzmi to jak czysta fantazja.

— Fantazja, tylko że do tej pory nikt tam nie odważył się już nie tylko zamieszkać, ale nawet dokończyć rozpoczętej budowy! Mimo że kolejni nabywcy budynku ściągali coraz to nowe ekipy robotników, nawet z daleka. Po kilku dniach i tak wszyscy uciekali!

Wszystko się zgadzało. Musiałem się teraz postarać wyciągnąć od niej maksymalnie dużo szczegółów.

— A ja podtrzymuję poprzednią opinię — odezwałem się przekornym tonem. — Ktoś panią nabral, serwując tę upiorną bajeczkę...

— Nie żaden ktoś! — przerwała. — Opowiadał to, jak już panu raz mówiłam, mój dobry znajomy. Jeżeli nadal mi pan nie wierzy, sam może go przy okazji zapytać. Nazywa się Bolesta, jest aktorem.

Droga szła zakosami pod górę. Pięła się coraz bardziej stromo, co wskazywało, że jesteśmy już chyba blisko szczytu.

— A, aktor... — pokiwałem głową. Obróciłem kierownicę w lewo, biorąc miękko kolejny zakręt. — Teraz wszystko jasne. Aktorzy to ludzie z fantazją.

Chyba się obraziła, ale że droga właśnie się skończyła, nie trwało to długo.

Wjechałem na parking. Wokół niego biegł niski kamienny murek.

Wysiadłem, rozglądając się niezdecydowanie. Nawet jeżeli groziła mi tu jakaś nieprzyjemna niespodzianka, nie mogłem postąpić inaczej, jak tylko stawić jej czoło.

Moja towarzyszką, która również wysiadła z samochodu, wspięła się na murek. Przez chwilę stała, odwrócona do mnie plecami, jak gdyby jej uwagę przykuło coś innego.

Po chwili także i ja to usłyszałem. W lesie, otaczającym parking, zaszleściły drzewa i sucho trzasnęły gałęzie, jakby pod czyimiś szybkimi krokami. Był to jednak chyba tylko ptak — duży, ciemny ptak, który wzbijał się ponad las i łopocząc skrzydłami zaczął okrążyć ruiny baszty, odcinające się ciemnym konturem na tle szczytu góry, oświetlonego przez światło księżycy.

— Gdzie się pan podziewa? Proszę tu przyjść! — zawołała nagle Barbara.

Stałem obok, nadal spięty. Jednak chyba nie było powodu.

— To właśnie chciałam panu pokazać — wyciągnęła rękę. — Czyż nie wyglądają niesamowicie?

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Ruiny zamku przypominały dekorację z kręconego w Hollywood *thrillera*. Miało to rzeczywiście swój urok, lecz jakoś nadal nie mogłem uwierzyć, że przyjechaliśmy tu tylko po to, aby delektować się widokiem.

Po chwili zaproponowała, abyśmy poszli kawalek wyżej.

— Dopiero stamtąd zobaczymy całe morze świateł w dolinie...

Absolutnie nie miałem na to ochoty. Zrobiło się zresztą zimno, a od kamieni, skał i mokrych drzew ciągnął wilgotny chłód. Tyle tylko, że deszcz nie padał. Byłem zdecydowany wracać do samochodu, kończąc w ten sposób wieczorną eskapadę. Powiedziałem to głośno, lecz natrafiłem na sprzeciw.

— Chyba nie po to tu przyjechaliśmy, żeby teraz rezygnować? — zaripostowała. — A może rzeczywiście uwierzył pan w zamkowego ducha?

Wiedziałem, że mnie prowokuje, ale nie miałem pojęcia, po co chciała mnie zaciągnąć na szczyt, w ruiny. Bo raczej nie na romantyczne *rendez-vous* we dwoje. Jakiej więc innej przygody mogłem się spodziewać? Niejeden raz docierało do mnie to i owo o różnego rodzaju niespodziankach, jakie przydarzały się w Polsce zagranicznym przybyszom, zbyt łatwo ulegającym urokowi tutejszych dziewczyn. Nie zamierzałem iść w ich ślady. Powtórzyłem więc, że wracam do wozu. Jeżeli nawet była niemile zaskoczona, nie dała tego po sobie poznać.

— Pójdę wobec tego sama — zdecydowała. Może liczyła, że w ten sposób skłoni mnie do zmiany zdania. Zawiodła się.

— Trudno — odpartem. — Czekając na panią przynajmniej wypalę w spokoju papierosa.

Chyba się trochę obraziła, skoro bez słów

wa odwróciła się i zaczęła iść szybkim krokiem w stronę ruin czerniejących na szczycie.

Znowu nie okazałem się dżentelmenem, nie podążyłem za nią. Rozsiadłem się wygodnie w swoim porsche, zapaliłem papierosa i założyłem świeżo kupioną w Wiedniu kasetę Madonny.

Nie wiem, jak długo jej słuchałem. Papieros skończył się i otworzyłem drzwiczki, zamierzając cisnąć niedopalek na ziemię. Ledwie to uczyniłem, dobiegł mnie czyjś przytłumiony odległością krzyk. Mogłbym go wziąć za złudzenie bujnej wyobraźni, gdyby nie to, że się powtórzył.

Wyłączyłem Madonnę i wówczas uświadomiłem sobie, że wołanie dochodzi z ruin zamku. Znalazłem się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Rozsądek dyktował mi maksymalną ostrożność, ale sumienie nie chciało przyzwolić na bezczynność.

Wyciągnąłem ze skrytki w samochodzie silną latarkę i oświetlając drogę ruszyłem w górę.

Wiodła tam wąska, kamienista ścieżka, obrośnięta po obu stronach krzakami. Po krótkim namyśle zrezygnowałem z niej, decydując się pójść na przełaj. Jeżeli bowiem mogła mnie gdzieś spotkać jakaś przykra przygoda, to miejsce było wymarzone, a krzaki stanowiły idealną kryjówkę.

Na razie wszystko szło gładko i droga na szczyt nawet specjalnie mnie nie zmęczyła. Wkrótce stanąłem nie opodal okrągłej baszty i resztek murów o różnej wysokości i różnym stopniu zniszczenia. Widoczne w świetle księżyca skruszałe kamienie tworzyły lśniąca wilgocią rumowiska. Głębokie, pełne wody zapadliny znaczyły miejsca, w których ongiś znajdowały się prawdopodobnie zamkowe komnaty, wewnętrzny dziedziniec i brama wjazdowa. Tam, gdzie mur był nieco wyższy, zachowały się jeszcze zarysy okien w postaci jaśniejszych prostokątów.

Podkradłem się ostrożnie pod mur i dopiero tam, czując za plecami chłód kamieni, rozejrzałem się wokół.

Niespodziewanie w panującej wokół ciszy rozległ się grzechot kamieni. Z wier-

chołka baszty poderwało się do lotu stado ptaków, kracząc donośnie.

— Ratunku! Na pomoc! — usłyszałem już całkiem z bliska.

Podszedłem ostrożnie wzdłuż muru w kierunku baszty. Po drodze zatrzymała mnie jednak głęboka ciemna wyrwa. Stąd właśnie dochodziło wołanie o pomoc.

Już miałem pochylić się nad ziemią, gdy nagle instynkt, a może po prostu usłyszany szelest, kazał mi się błyskawicznie wyprostować i odskoczyć w bok. Uchroniło mnie to przed uderzeniem czymś ciężkim, co przeleciało obok i potoczyło się gdzieś w dół. Ujrzałem ciemną sylwetkę, odrywającą się od murów baszty. Napastnik zamierzył się na mnie jeszcze raz, lecz i tym razem okazałem się szybszy. Cios, zamiast w moją czaszkę, trafił w próżnię. Nieznajomy zachwiał się, tracąc równowagę. Nim ją odzyskał, zaatakowałem go. Zdażył mi się jednak wymknąć i biegiem rzucił się do ucieczki.

Nadzieja, że go dogonię, szybko się rozwinęła. W przeciwieństwie do mnie zapewne świetnie znał teren, skoro — omijając gruz i rozpadliny — błyskawicznie zniknął w zaroślach.

Wszystko trwało tak krótko, że kiedy się skończyło, mogłbym pomyśleć, że uległem złudzeniu.

Nie był jednak złudzeniem głos, który znów usłyszałem.

— Tutaj, tutaj! Proszę mi pomóc!

Zbliżyłem się do rozpadliny. Rozglądając się wokół w obawie przed powtórny atakiem, zapaliłem latarkę, kierując w dół snop światła.

W głębokiej wyrwie, która powstała prawdopodobnie wskutek zapadnięcia się ziemi po ulewnych deszczach, ujrzałem Barbarę. Miała ciemne rozmazane smugi na twarzy i rozdartą bluzkę. Ręką usiłowała dosięgnąć krawędzi wyrwy, która jednak znajdowała się zbyt wysoko, by mogło jej się to udać bez pomocy z zewnątrz.

— Co się stało? — zawołałem, omiatając teren wokół światłem latarki.

— Zamiast pytać, niech mi pan pomoże się stąd wydostać! — krzyknęła.

Oświetliłem dokładniej rozpadlinę. Rze-

czywiście nie dawała jakiegos solidniejszego oparcia dla nóg. Skruszałe mury groziły dalszym osunięciem.

Zdjąłem skórzany pasek od spodni i trzymając jeden jego koniec drugi spuściłem w dół.

— Niech się pani tego złapie! — rozkazałem.

Udało jej się to dopiero za drugim razem. Z trudem wywindowałem ją na górę. Kiedy już wynurzyła się prawie całkowicie, podałem jej rękę. W chwilę później rozległ się ostrzegawczy, głuchy łoskot. Mur pękł, w czeluść rozpadliny runęła lawina kamieni.

— Dziękuję — powiedziała. — Gdyby nie pan, mogłoby mnie tu całkowicie zasypać.

— Nie trzeba było się pchać, gdzie nie potrzeba — zauważyłem szorstko.

— To pechowy przypadek. Wszystko przez pana. Pan przecież nie chciał iść do ruin zamku, więc posłałem samą. Ale tutaj, na górze, zrobiło mi się jakoś nieswojo. Wydało mi się, że ktoś się kryje za basztą. Nawet przez chwilę zastanawiałam się, czy to aby nie pan robi mi taki kawał. Zawołałam, lecz nikt mi nie odpowiedział. Wtedy się przestraszyłam. Zaczęłam biec z powrotem i nie zauważyłam tej cholernej dziury, w którą nagle wpadłam.

A więc uważała za stosowne wytłumaczyć się przede mną, choć wcale od niej tego nie żądałem. Nie wierzyłem także w bajeczkę, którą mi zaserwowała. Tyle tylko, że zachowałem ów pogląd dla siebie.

— Czy coś się pani stało? — spytałem widząc, że trochę kuleje.

— Nie, nic — odparła szybko. — Noga trochę boli. Musiałam ją nadwerężyć przy upadku.

— Proszę pokazać.

Obmacałam kostkę, nie wyczuwając jednakże opuchlizny.

— Złamania na pewno nie ma. Zwinięcia chyba też nie — skonstatowałem, wyprostowując się. — Będzie pani mogła dojść do parkingu?

— Spróbuję — obiecała. I rzeczywiście to się jej udało.

Kiedy dotarliśmy do samochodu, dochodziła pierwsza.

— Czy odwieźć panią do szpitala? — spytałem, otwierając drzwiczki wozu. — Chyba macie tu jakieś pogotowie ratunkowe albo dyżurującego lekarza...

— Ależ po co?! — zawołała. — Nie ma takiej potrzeby! Niech mnie pan podrzuci po prostu do domu. Wystarczy na razie zwykły okład z wody z octem, potem zobaczę.

Spełniłem i to życzenie. Po półgodzinie jazdy zatrzymaliśmy się przed szampowym, dwurodzinnym, piętrowym segmentem.

— Nie wejdzie pan do środka? — spytała. Otworzyła furtkę, prowadzącą do niewielkiego, lecz jak mogłem spostrzec w świetle latarni starannie utrzymanego ogródka.

Krótki przedpokój zaprowadził nas do większego hallu, gdzie stały dwa fotele, wersalka nakryta futrzakiem i telewizor. Na ścianach wisało kilka mało wartych artystycznie, choć pewnie drogich obrazów, zegar udający styl *empire* i duże lustro, w którym się przejrzała. Wydała okrzyk przerażenia.

— Ależ wyglądam! Muszę się choć trochę doprowadzić do porządku!

Istotnie nie prezentowała się najlepiej. Tyle tylko, że kiedy szła w stronę wyjścia, kulą nieporównanie mniej niż na Górze Zamkowej. W progu odwróciła się:

— Jakby się panu nudziło, to na półce koło telewizora znajdzie pan trochę pism.

Rzeczywiście znalazłem, były to jednak głównie kolorowe zagraniczne żurnale, które mnie ani krzty nie interesowały. Daleko bardziej zajął mnie album, który także tam się znajdował. Zdając sobie sprawę z własnej niedyskrecji, zajrzałem do środka. Przekartkowałem kilka stron, pełnych powklejanych fotografii o bardzo różnym charakterze. Rozpoznałem właściciela strzelnicy z jakąś kobietą, może żoną; znanego mi już emerytowanego aktora podczas rozmowy, toczonej z proboszczem przed kościołem; trochę twarzy, znanych mi ongiś ze scen i ekranu, prawdopodobnie wczasowiczów tutejszego domu wypoczynkowego. Była i Barbara w towarzystwie różnych mężczyzn. Jeden z nich miał około trzydziestu lat i urodę Alaina Delo-

na z jego wcześniejszych filmów. Czyżby to właśnie był ów Bolesta, o którym słyszałem?

Nagle wpadło mi w oko zdjęcie nie wyróżniające się właściwie niczym szczególnym. Rzekłbym nawet, że wykonane było kiepsko i trochę nieostro, jak przez osobę nie obeznaną z fotografowaniem, a poproszoną o to przypadkowo.

Przed strzelnicą, na tle której zostało zrobione, stała moja znajoma z „Szarotki” w otoczeniu czterech mężczyzn. Jednym z nich był bez wątpienia człowiek, znany mi pod pseudonimem „Jubiler”.

Zachodziłem w głowę, gdzie go poznała i czy wie już o jego aresztowaniu w związku ze sprawą srebra. Możliwe, że wiadomość, którą dziś przeczytałem w gazecie, jeszcze do niej nie dotarła. Gdyby było inaczej, prawdopodobnie postarałaby się usunąć fotografię z albumu. A może po prostu o niej zapomniała? Nie wykluczałem także i tego, że podsunęła mi album celowo — właśnie po to, żebym go tam zobaczył. Wszystko zaczynało być w każdym razie coraz bardziej intrygujące.

— Ciekawi pana ta fotka? — usłyszałem niespodziewanie.

Nawet nie zdążyłem zamknąć albumu. Kobieta, która weszła do pokoju cicho jak kot, nosiła krótką, czarną spódnicę z szerokimi falbanami, czerwoną bluzkę na ramączkach, haftowaną błyszczącymi cekinami i aksamitną wstążkę we włosach. Przypominała Hiszpankę, a z całą pewnością wyglądała jeszcze bardziej interesująco niż przed kilkoma godzinami za ladą bufetu kawiarni „Szarotka”.

Wyjęła mi album z ręki.

— To mój brat, Janek — wskazała. — To Adam Bolesta, już panu o nim wspominałem. Mnie pan też chyba poznaje?

Poznałem jednak jeszcze i kogoś innego. W grupie sfotografowanych czterech osób stał również organista Czyżewski — w tych samych, znanych mi już z fotografii u proboszcza staromodnych drucianych okularach, w źle uszytych spodniach i koszulce polo modnej przed dziesięć laty. Wydało mi się, że w jego twarzy, zwróconej w stronę Barbary, odczytuję dramat źle ulokowanego uczucia.

Zamknęła album i zagadnęła:

— Nie napiłby się pan czasem trochę likieru?

Nie odmówiłem.

Przyniosła kawę, likier pomarańczowy, za którym specjalnie nie przepadam, oraz drobne ciasteczka, oblewane czekoladą.

Sama zaproponowała przejście na „ty”. Wypiliśmy po kieliszku, potem jeszcze po jednym.

— Może trochę muzyki? — spytała, nie zostawiając mi miejsca na inicjatywę. Włączyła magnetofon z kasetą piosenek w stylu *country*.

Usiadła blisko mnie. Sytuacja zaczynała się klarować i nie byłbym mężczyzną, gdybym tego nie zrozumiał...

Czas płynął szybko. Nie wiedziałem, która może być godzina. I wcale nie chciało mi się tego sprawdzać. Leżeliśmy po ciemku. Chciało mi się spać, ale nie spałem. Mogło się to dla mnie okazać zbyt ryzykowne.

Miałem, zdaje się, rację. Niespodziewanie Barbara uniosła się, oparła na łokciach i pochyliła nade mną. Udałem, że śpię. Mój równy głęboki oddech ją oszukał. Ostrożnie zsunęła się w dół i bosą, na palcach, przeszła kilka kroków w kierunku fotela, na którym leżały jej i moje rzeczy.

Obserwowałem spod wpół przymkniętych powiek, co robi. Światło latarni, przebijające się przez zasłonę, walnie mi w tym pomagało.

Znalazła wśród rzeczy moją kurtkę, wprawnie obszukała kieszenie i wyjęła portfel. Gdy jednak zamierzała wysunąć się niepostrzeżenie ze swoją zdobyczą z pokoju, jednym susem znalazłem się obok, chwytając ją silnie za rękę. Krzyknęła, upuściła portfel i zaczęła się wyrwać. Dla postronnego widza dwoje szamocących się nagich ludzi może wyglądać śmiesznie, wręcz groteskowo. Ale myślę, że żadnemu z nas nie było w tej chwili do śmiechu.

— Naprawdę wydawało ci się, że masz do czynienia z frajerem? — rzuciłem.

— Nie strasz, nie strasz, i tak się nie boję!

— A gdybym tak poszedł i opowiedział

komu trzeba, że najpierw miałem być obrobiony w ruinach na Górze Zamkowej, a kiedy się tam nie udało, miało się udać tutaj? Przecież chyba tylko po to zostałem, jak rozumiem, zaproszony.

Roześmiała się głośno i sztucznie.

— Opowiadaj tę swoją bajeczkę komu chcesz, i tak ci nikt nie uwierzy! Masz chociaż jednego świadka? Nie masz! Widzisz! I jesteś zdrow i cały! I twoim słowom zawsze mogę przeciwstawić moje — zobaczymy, komu uwierzą. Nie mówią o tym, że tacy faceci jak ty raczej nie powinni sobie stwarzać niepotrzebnych kłopotów.

Stałem zaskoczony. Nawet się nie wypierała, choć tego podświadomie oczekiwałem. Najgorsze jednak było to, że miała całkowitą rację. Nie wolno mi było w żadnym wypadku stwarzać sobie żadnych dodatkowych kłopotów. Ale też i nie mogłem stąd odejść bez upewnienia się, o co naprawdę chodzi.

— Ubierz się! — rozkazałem. Rzuciłem jej bluzkę i spódnicę, sam również wciągnąłem spodnie. Teraz czułem się już mimo wszystko pewniej. Pewnym ruchem podniosłem też portfel. — Masz, sama się przekonaj, czy było warto! — rzuciłem na wersalkę paszport, kartę hotelową z „Victorii”, pięć tysięcy szylingów w banknotach i drugie tyle w czekach podróżnych, wystawionych przez wiedeński oddział Credit Bank na moje nazwisko.

Nie zainteresowało jej nic prócz paszportu, który bez żenady otwarci przestudowała.

— No i co? — zapytałem.

Podniosła głowę.

— Z tego, co tu napisano, wynika, że rzeczywiście nazywasz się Piotr Walczak.

— A niby jak miało być? Kopernik?

— Kto cię tam wie? Nie o takich cudach się słyszy — rzuciła paszport na wersalkę. — Mieszkasz w Wiedniu, a paszport masz polski.

— Ale konsularny — zaakcentowałem. — A to różnica. Nie znasz ludzi, którzy latami przebywają na takich paszportach za granicą, ponieważ tak właśnie im wygodniej lub bardziej im się to opłaca? Gdybyś się trochę wysiliła, sama byś na

to wpadła. — Poskładałem wszystko i włożyłem do portfela. — No, cóż — powiedziałem — robi się późno. Czas postawić sprawę jasno. Mimo wszystko nie taję, że mi się podobasz i było mi z tobą dobrze. Powiedz, ile ci się należy, a rozstaniemy się w zgodzie i zapomnę o wszystkim.

Celowo ją prowokowałem, licząc, że sama się w końcu zdradzi.

Zrobiła się purpurowa, podbiegła do mnie, chcąc uderzyć mnie w twarz. Chwyliłem ją silnie za przegub, zatrzymując rękę.

— No, no, moja mała, nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana! Chyba postawiłem sprawę uczciwie...

Myślę, że gdyby mogła, rozdeptałaby mnie w tym momencie jak obrzydliwego robaka. Trzymałem ją jednak mocno, więc musiało jej wystarczyć spojrzenie pełne miazdzącej wzdardy.

— Ty idioto! — wycodziła. — Ty skończony głupku! Czy chociaż przez chwilę myślałeś, że zależy mi na twojej forsy? Forsy to ja mam dosyć i bez ciebie. Rozejrzyj się, no, rozejrzyj się, jak żyję, jak mieszkam. To wszystko moje! Ta willa, kawiarnia — nic ci to jeszcze nie mówi?

— Więc na czym? — podchwyciłem. — Kto chciał mnie wykończyć w ruinach na Górze Zamkowej?

— Nie wiesz? — zakpiła. — Oczywiście duch!

Poczułem uczucie zawodu. W tym nastroju wyszedłem.

---

#### IV

---

Ulice, jeszcze nie wyschłe po niedawnym deszczu, lśniły mokrym asfaltem. Rzeką płynęły belki i deski z zerwanego gdzieś widać mostu. Jednakże most, na który wjechałem, był cały i bez żadnych przeszkód przejechałem na drugą stronę.

Właściwie niepotrzebnie tak się śpieszyłem, wyprzedzając szarość poranka. Dochodziła dopiero piąta rano i nie przypuszczałem, aby ktokolwiek wybierał się o tej porze na wycieczkę do ruin zamku.

Mimo wszystko wolałem mieć jednak pewność.

Szosa, biegnąca dotąd zboczem góry, zaczęła je okrążyć, zbliżając się zakosami do wierzchołka. Na wszelki wypadek zaparkowałem samochód na jednej z bocznych dróg nie opodal szczytu, a dalej poszedłem pieszo. Wkrótce ujrzałem znajomy parking.

Dopiero teraz odsłaniały się przede mną szczegóły, skryte nocą w ciemności. Pod murkiem stało kilka ławek bez oparcia i parę dawno nie opróżnianych koszy na śmieci. Obok znajdował się niewielki pomalowany na zielono drewniany kiosk z napisem: „Lody. Słodczyce. Lemoniada”. Tabliczka poniżej informowała: „Kiosk cukierniczy. Agent W. Smolarski”.

Ruszyłem w górę znaną mi już wąską ścieżką.

Ruiny zamku straciły w świetle dziennym poprzednią tajemniczość. Z okna, ocalałego w resztkach muru, ujrzałem rozległą, dość monotonna dolinę, rozciągającą się wzdłuż rzeki. Zamek bronił zapewne ongiś ważnego szlaku, przechodzącego przez tę dolinę. Jego mury wtapiały się w strome urwisko, spadające prawie pionowo w dół. Tam, gdzie stała baszta, urwisko przechodziło w skalne półki, uskoki i głązy, między którymi leżał żwir i kamienie. Nieco dalej, na podłożu usianym szarymi odłamkami, rósł las.

Ten widok uświadomił mi moje niewielkie szanse w nocnym pościgu. Wystarczył jeden nieostrożny krok, jedno nieopatrne stąpienie — i długo staczałbym się po stoku.

Poszedłem w stronę baszty. Była zbudowana z dużych kamieni i wydawała się nienaruszona. Dopiero z bliska zauważyłem głęboką wyrwę, przez którą z łatwością dostałem się do środka.

Stałem w kolistym bastionie, pozbawionym dachu i części ścian, szczególnie w szczytowej partii. Mimo to nadal mógł on stanowić znakomitą kryjówkę — zwłaszcza w ciemnościach. I zwłaszcza dla kogoś, komu musiało zależeć, ażeby przeczekać tu jakiś czas, samemu pozostając nie zauważonym.

Miałem wszelkie podstawy przypuszczać, że człowiek, który zaatakował mnie na

Górze Zamkowej, chował się właśnie tutaj. Lecz przypuszczenie to za mało. Bez świadków i dowodów było to tyle, co nic. Świadków nie było. Potrzebowałem więc choćby jednego przynajmniej dowodu.

Na kamienistej ziemi wewnątrz baszty nie został nawet najmniejszy odcisk buta. Żwir wokół murów wydeptały tysiące stóp turystów, którzy bawili tutaj przede mną. Pozostawało jeszcze tylko otoczenie rozpadliny, nad którą zostałem napadnięty.

Zastanawiałem się, czy je rozpoznam. Zapamiętałem, że loch, z którego wyciągałem Barbarę, znajdował się poniżej baszty. Dodatkowy znak rozpoznawczy powinna stanowić lawina kamieni i cegieł, która zapewne spadła na dno razem z osuwającą się ziemią.

W końcu znalazłem coś podobnego. Zatrzymałem się na skraju głębokiej jamy i zerknąłem w dół, gdzie rzeczywiście leżało mnóstwo ziemi, darni i kamieni. Mogło to wskazywać, że w opowiadaniu Barbary tkwił jednak jakiś łut prawdy. Padające od dawna deszcze podmyły skruszałe fundamenty, pod którymi znajdowały się przepastne lochy i piwnice, odsłonięte obecnie wskutek pęknięcia ziemi.

Przypomniałem sobie grzechot kamieni, towarzyszący upadkowi przedmiotu, który ominął na szczęście parę godzin temu moją głowę i runął gdzieś w dół. Być może stało się to właśnie tutaj. Spojrzałem w głąb wyrwy o nawisach, grożących w każdej chwili dalszym osunięciem. Czy warto było ryzykować w imię celu tak niepewnego jak ten?

A jednak się zdecydowałem. Położyłem się na skraju rozpadliny i dłonią obmacałem ściany.

Wyglądały dość pewnie, a więc ostrożnie, centymetr po centymetrze, zacząłem opuszczać się w dół.

Wkrótce trafiłem na lepiej zachowany występ muru i moje nogi zyskały pewniejsze oparcie. Zapaliłem latarkę, omiatając jej światłem dno rozpadliny. Nie zobaczyłem nic ciekawego. Postanowiłem zejść jeszcze niżej.

Po chwili, kiedy już wydawało się, że dosięgnąłem pewniejszego gruntu, wpa-

dłem po kostki w lepką, błotnistą maź, utworzoną z gliniastej ziemi, przemieszanej z kawałkami cegieł i żwirem.

Osiągnąłem już jednak dno rozpadliny i skierowałem na nie światło latarki. Czy rzeczywiście znajdę tu to, czego szukam? Równie dobrze wszak przedmiot, który przeleciał obok mojej głowy, mógł być po prostu zwykłym kamieniem, okruczem skały, jakich tu nie brakuje.

Naraz spostrzegłem, że osunięta ziemia odsłoniła w pewnym miejscu nieregularny otwór w murze. Swym kształtem przypominał nie istniejące od dawna wejście do zamkowych piwnic i lochów, z biegiem czasu zapewne zasypane.

Znowu puściłem wodze fantazji i nic mnie nie mogło powstrzymać od zerknięcia, co może być za otworem. Skierowałem promień latarki w ciemną czeluść. Ujrzałem niewielkie, nisko sklepione i również częściowo zasypane piwniczne pomieszczenie. Ale nie tylko. Zobaczyłem bowiem coś więcej. Wciśnięte w najdalszy kąt lochu, oparte czaszką o mur, leżały tu czyjeś doczesne szczątki. Czas obszedł się z nimi nielitościwie. Zetlałe, porozpadane miejscami ubranie odsłaniało woskowożółte pierszele.

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Prześladowało mnie zaiste jakieś fatum.

Z trudem precyzyjnie się przez dziurę i na czworakach wpełzłem do środka.

Niestety, nie uległem złudzeniu ani podszeptom bujnej wyobraźni. Miałem przed sobą jak najbardziej autentycznego nieboszczyka. A sądząc ze stanu, w jakim go znalazłem, musiał tu leżeć już długo.

Skierowałem na niego światło latarki. Musiał też, biedak, zapewne zginąć śmiercią gwałtowną, skoro w jego wyszczerzonych zębach jeszcze do teraz tkwił zbudowały knebel, a w czaszce było widać dziurę jak po kuli.

Już miałem się wycofać, gdy naraz coś zachrząściło mi pod stopą. Schyliłem się i ujrzałem strzaskane, pogniecione okulary w charakterystycznej, drucianej staromodnej oprawie.

Stałem właśnie, trzymając je w zamyśleniu w rękę, gdy w pewnym momencie

uchwyciłem słuchem jakieś przytłumione głośy. Rozległo się szczekanie psa.

Biegł najwyraźniej w moim kierunku, więc czas był najwyższy, aby się wycofać.

Schowałem okulary do kieszeni, nieboszczyka zostawiając w jego wiecznym spokoju. Pospiesznie wpełzłem z powrotem przez otwór w murze i znowu utapiałem buty w gliniastej mazi. Szybciej niż przedtem udało mi się jednak odszukać znajomy występ muru, który ułatwił mi zejście na dno rozpadliny. Teraz miał mi umożliwić powrót.

Wychyliłem ostrożnie głowę na powierzchnię i znalazłem się oko w oko z białym kudłatym psem, niosącym w pysku jakiś przedmiot. Na mój widok dosłownie osłupiał. Zaskoczony, upuścił swoją zdobycz na ziemię.

Wyglądało to z mojej perspektywy jak skarpetka, wypełniona piaskiem, który wysypywał się przez dziury, wygryzione psimi zębami. Przyszło mi na myśl, że może tak oto właśnie wygląda ów przedmiot, którym miałem dostać w głowę, a którego dotychczas daremnie szukałem.

Zachęcająco pomachałem do psa.

— No, chodź, chodź! Pokaż panu, co tam masz!

Ani myślał posłuchać. Warknął jedynie ostrzegawczo i znów złapał skarpetkę w zęby, odskakując kilka metrów.

Nareszcie wygramoliłem się na powierzchnię. Pies był jednak szybszy ode mnie i tylko ujrzałem jego puszysty ogon na ścieżce, którą jak pocisk popędził przed siebie.

Pękiem trawy wytarłem byle jak buty z błota. Właśnie ciskałem go gdzieś w bok, kiedy wśród ruin ukazał się niespodziewanie stary aktor Koterba.

— Chodź tutaj, Kuba! — zawołał na psa.

Ale i to wezwanie, podobnie jak moje, pozostało bez właściwej reakcji. Pies zniknął razem ze swoją skarpetką, zaś aktor... wreszcie mnie zobaczył.

— O! — zdziwił się, jakby ujrzał ducha. — To pan? O tej porze? Cóż pana tutaj przywiodło?

— Właśnie zwiedzałem ruiny — oznajmiłem beztrząsco, wcale nie kłopotując się



o to, że nie zabrzmiało to przekonywająco. — Wcale romantyczne.

Oczywiście mi nie uwierzył. Mogłem to wyczytać aż nadto wyraźnie z jego twarzy. Nic jednak nie byłem w stanie na to poradzić. Miałem poważniejsze smartwienie.

— Schodzi pan na dół? — zapytał Koterba. — Trzeba uważać, bo ślisko po deszczu.

Miał rację. Ścieżka była równie śliska jak poprzednio. Mimo to znaleźliśmy się na parkingu stosunkowo szybko. Stała tam furgonetka, z której jakiś nieznany mi, krępy łysiejący blondyn o pucioławatej twarzy wyładowywał duże tekturowe pudło.

— To mój zięć — rzekł aktor. — Poprzednio był kierownikiem kina w Górsku — dodał. — Ale że trudno wyżyć dziś z gołej pensji na państwowej posiadzie, wystarał się o ajencję kiosku ze słodyczami na Górze Zamkowej.

— Smolarski — przedstawił się blondyn i teraz już wiedziałem, że to właśnie jego nazwisko przeczytałem wcześniej na wywieszce na kiosku.

Z lasu wybiegł pies. Nie niósł już jednak w pysku skarpetki z piaskiem, lecz świeżo utamaną gałąź. Gdzie wobec tego pozdała się skarpetka?

Smolarski zdusił tymczasem papierosa, którego palił, i niby mimochodem zapytał:

— Długo pan tu jeszcze zostaje?

Spojrzałem na zegarek.

— A, nie, nie — odparłem szybko — już pora schodzić. Robi się późno.

— Możemy pana podrzucić — zaproponował. — Tylko wyładowuję towar. Nyską wprawdzie nie za wygodnie, ale zawsze lepiej niż na własnych nogach.

Na parkingu nie było mojego samochodu, więc rzeczywiście mógł myśleć, że przyszedłem tu na piechotę.

Wyprowadziłem go z błędu.

— Mam wóz, zaparkowałem go nizej. Trochę się bałem, że po ostatnich deszczach droga tuż pod szczytem może być zasypana żwirem. A taki żwir, pryskający spod kół, piekielnie niszczy karoserię.

— No, cóż, skoro tak... — rzekł Koter-

ba. — Nasza nyska nie umywa się oczywiście do pańskiego porsche'a... A my? — zwrócił się do zięcia.

Ten nie wiadomo dlaczego obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem. Może po prostu dlatego, że w ogóle nie lubił ludzi przybawających białym porsche'm do kraju, w którym za szczyt luksusu uchodzi mały fiat.

— Trzeba jeszcze rozładować do końca towar — burknął. Poszedł do samochodu, skąd wyciągnął kolejne tekturowe pudło. Wyglądało na to, że ani myśli poświęcić mi więcej uwagi. Ja też zresztą miałem teraz co innego do roboty.

Ruszyłem w dół, szosą błyszczącą od wody. Znowu zaczęło padać. Gdzieś tam leżały jezory błota oraz wysepki żwiru i kamieni, naniesione deszczem. Las pachniał wilgocią i parował mgłą, która tworzyła białe mleczne smugi tuż nad ziemią.

W zakolu drogi trafiłem na większy występ, osłonięty z jednej strony skałą. Przystanąłem i zapaliłem papierosa. Gdy go skończyłem, oślepiło mnie słońce, wynurzające się niespodziewanie zza chmur. Zaskoczył jednak także widok furgonetki, która pędziła szosą z góry w diabelskim zaiste tempie. A co gorsza pędziła, jak mi się wydało, prosto na mnie.

Wynurzyła się zza zakrętu niemal bezszelestnie. Kierowca wyłączył silnik i słychać było jedynie szum opon na mokrym asfalcie.

Właściwie nie miałem odwrotu ani żadnej drogi ucieczki. Przede mną znajdowała się szosa, a za moimi plecami wysooka, lita skała bez jakiegokolwiek punktu zaczepienia dla rąk.

Samochód był tuż, tuż. Przywarłem całym ciałem do skały. Nie rozstąpiła się wprawdzie, lecz nagle usłyszałem przeciągły, głośny dźwięk klaksonu. Na szosie ukazał się czerwony polonez, zmierzający szybko pod górę.

Kierowca furgonetki skręcił raptownie. Spodziewałem się, że wpadnie w poślizg — zwłaszcza że jechał z wyłączonym silnikiem. Nie doceniłem jednak jego umiejętności. Choć wyrzuciło go zza zakrętu na przeciwną stronę, zdążył uruchomić na nowo motor. Z pobocza błyskawicz-

nie wrócił na szosę i z głośnym warkotem potoczył się w dół. Za chwilę zniknął za kolejną pętlą zakrętu.

Czerwony polonez zahamował tymczasem tuż przy mnie. Otworzyły się drzwiczki i ujrzałem właściciela strzelnicy, Jana Brylaka. Koszulę miał tym razem w paski, ale chustkę na szyi tę samą.

Stanął i spojrzał w dół, tam gdzie smużka siwego dymu znaczyła niedawno obecność furgonetki.

— Miał pan cholerne szczęście! Jeszcze chwila, a rąbnąłby prosto w pana! I nawet uciec nie było gdzie! — zadarł głowę, chcąc dojrzeć wierzchołek skały. — Kiedyś to się źle skończy. Zabijsz siebie albo kogoś, jeżeli będzie tak jaździć.

— Wie pan, kto to?

— Jasne! To Smolarski, zięć starego Koterby. Od razu poznałem jego nyskę. Napędził panu trochę strachu, co?

Wyjął z samochodu termos.

— Napije się pan może trochę kawy dla orzeźwienia? Nigdy się bez tego nie ruszam — i nie czekając na odpowiedź nalał mi pełny plastikowy kubek, a sobie — do zakrętki. Upił duży łyk, a kiedy poszedłem w jego ślady, otworzył drzwiczki poloneza.

— Niech pan wsiądzie, podrzucę pana — zaproponował. — Wygląda pan niespecjalnie.

Był dziś już drugą osobą, która mi to proponowała. Lecz co tu robił o tak wczesnej porze? Wiedział, co działo się w nocy i chciał zatrzeć wszelkie ewentualne ślady? Czy też po prostu jechał spotkać się z Koterbą i Smolarskim? Wszyscy jakby się umówili właśnie w tym jednym miejscu.

— Mam w pobliżu samochód — odparłem. — Zaparkowałem niedaleko stąd, na jednej z bocznych dróg.

Poskrobał się po policzku. Zauważyłem, że jeszcze nie zdążył się ogolić i wyglądał trochę niechlujnie.

— Jedno nie przeszkadza drugiemu. Prawdę mówiąc chciałem pana o coś zapytać. A po co przychodzić z tym do hotelu? Żeby ludzie niepotrzebnie strzępili języki?

Domyślił się, gdzie mnie szukać, czy też

może ktoś mnie widział jadącego w kierunku Góry Zamkowej? A może po prostu Brylak jedynie wykorzystywał okazję, która mu się przypadkowo trafiła?

— Słucham.

— Ech, nie! — zachnął się. — Po co załatwiać sprawę na stojąco, skoro można zrobić to samo siedząc wygodnie w samochodzie, na dodatek przy muzyczce?

Zniknął na moment we wnętrzu poloneza, założył jedną z kaset, które leżały na półce na dole, i włączył magnetofon. Sciszył jakiś hałaśliwy zespół rockowy i gestem ręki zaprosił mnie do środka. Pojąłem, że się ubezpiecza w ten sposób na wszelki wypadek. Czyżby przypuszczał, że mam przy sobie kieszonkowy magnetofon i nagram tę rozmowę na taśmę, by mieć go później w rękę? Uśmiechnąłem się w duchu. Przez chwilę zastanawiałem się, czy wsiąść. Musiał widać zauważyć moje niezdecydowanie, skoro sięgnął do skrytki pod deską rozdzielczą i podał mi jakiś papier.

*Święty Jerzy ze smokiem* — przeczytałem. — *Anonimowa rzeźba w srebrze z końca XVII wieku. Autorstwo przypisywane niekiedy Piotrowi van den Rennen. Przedstawia świętego Jerzego w zbroi, na koniu, zabijającego smoka. Postument ze srebra o dekoracji trybowanej. Bogata ornamentyka. Miejscami zachowana inkrustacja emalią...* Dalej następowały dodatkowe fachowe szczegóły.

— Interesowałoby to pana? — zagadnął Brylak.

Nie kryłem pewnego rozczarowania.

— Żałuję, że to nie menora. Nie ma pan czasem dla mnie żadnych wiadomości na temat świecznika?

— Niestety nie, choć przepytalem parę osób. Ale to też jest coś warte.

Rzuciłem jeszcze raz okiem.

— Być może... Tylko metryczka to mało. Musiałbym sam obejrzeć... To pana? Wyciągnąłem rękę po opis.

— Powiedzmy, że właściciel pana na razie nie interesuje.

— Zgoda. Ale i nie mam zwyczaju kupować kota w worku.

— A ja się nie wdaję w żadne interesy nie znając ceny.

Przycisnął mnie do muru.

— W tym wypadku cena może być jedynie orientacyjna, bez uwzględnienia stanu rzeźby, stopnia jej zniszczenia, artyzmu wykonania, nie mówiąc o samej autentyczności — wyjaśniłem.

— Niech będzie orientacyjnie.

Zastanowiłem się.

— XVII wiek, srebro, sądząc z opisu rzemiosło artystyczne wysokiej klasy, ale brak zweryfikowanego autorstwa. A nawet jeśli to rzeczywiście Piotr van den Rennen z Gdańska, to także jeszcze nie złotnik tej klasy co na przykład Ballin, Delaunay czy Berain we Francji, norymberska rodzina Jamnitzerów albo Hiszpan Francesco Alvaro, złotnicy wysoko cenieni we wszystkich katalogach dzieł sztuki. A kto słyszał o Piotrze van den Rennen? Przyjmijmy zatem, że tego rodzaju rzeźba osiągnęłaby cenę katalogową rzędu mniej więcej... — dokonałem odpowiednich przeliczeń — ... powiedzmy piętnastu, dwudziestu tysięcy dolarów. Od tego należałoby jeszcze odjąć prowizję marszanda, czyli w tym wypadku moją oraz ewentualną prowizję domu aukcyjnego. Na rękę pozostałoby około dziesięciu, piętnastu tysięcy dolarów — na stosunki zachodnie nie była to wygórowana kwota, ale tutaj na pewno musiała być atrakcyjna. Zwłaszcza jeżeli dolara przeliczało się na złotych po kursie czarnorynkowym. — Pod warunkiem oczywiście, że znalazłby się chętny nabywca — dodałem. — Dzieła sztuki o charakterze sakralnym, w tym szczególnie rzeźby, stanowią bardzo specyficzną grupę przedmiotów, trudną do sprzedaży. Ponieważ wiąże się to z ryzykiem straty, marszandzi decydują się na nie na ogół niechętnie i to z reguły dopiero po szczegółowej penetracji wśród ewentualnych nabywców. Nikt z nas w końcu nie zamierza dokładać do interesu z własnych pieniędzy. No, ale sprawa jest otwarta Istnieje jednak zasadniczy warunek — nie zacząć niczego bez obejrzenia rzeźby.

Przez dłuższą chwilę to rozważał, zastanawiając się nad decyzją.

— No, dobrze — rzekł wreszcie — jakoś

to załatwimy. Skontaktuję się z panem. Kiedy pan stąd wyjeżdża?

— Zamierzam jutro rano, najdalej w południe.

— Wraca pan do Warszawy?

— Tylko na kilka dni, najwyżej na tydzień.

Spojrzał na mały kalendarzyk, przyklejony do deski rozdzielczej.

— Zadzwoń do pana, do „Victorii”, powiedzmy w czwartek, dziewiątego wieczorem i wtedy umówimy się już konkretnie. Odpowiada to panu?

Teraz ja z kolei wyjąłem z kieszeni kurtki kalendarzyk z różnymi notatkami na poszczególnych stronach.

— Dziewiątego wieczorem? — powtórzyłem. — Jak najbardziej.

Mimo protestów podwiózł mnie do miejsca, w którym zostawiłem swojego Porsche'a. Zaczekał, aż uruchomię silnik, i dopiero wtedy ruszył.

Usiadłem ciężko za kierownicą. Ogarnęło mnie narastające obezwładniające zmęczenie, które miałem powody tłumaczyć nie przespaną nocą. Ale odczuwałem też wzmagający się ucisk pod sercem. A także mdłący, coraz bardziej uporczywy ból brzucha. Przypomniałem sobie, że oprócz likieru, który piłem w mieszkaniu Barbary, i kubka kawy, którym poczęstował mnie jej brat, nie miałem od wczorajszego wieczora nic w ustach.

Postanowiłem, że natychmiast po powrocie napiję się mocnej, gorącej herbaty i położę do łóżka. Przedtem jednak musiałem coś załatwić.

Ruszyłem mając za plecami słońce, w którym obsychała szosa. Cienie drzew przesuwały się z monotonną jednostajnością. Zmieniające się oświetlenie raziło mnie w oczy.

Nagle dostałem mdłości — tak gwałtownych, że ledwie zdążyłem wbiec do lasu, gdzie zacząłem wymiotować.

Bardzo mnie to osłabiło, lecz mimo wszystko poczułem się chwilowo lepiej.

Wjechałem z powrotem do miasta. Na ulicy, prowadzącej w górę, w stronę kościoła, panował zaskakująco duży o tej porze ruch. Jeden za drugim jechały samochody i furmanki, wypełnione po brze-

gi mężczyznami, kobietami i dziećmi w odświętnych ubiorach. Im bardziej przybliżałem się ku wzgórz, gdzie stał kościół, tym częściej je spotykałem. Zwiększyła się również liczba ludzi na chodnikach i wzmógł gwar zmieszanych głosów.

Jechałem coraz wolniej. Tak wolno, że jakaś para przechodniów — mężczyzna o ogorzałej twarzy idący w towarzystwie otyłej kobiety w jaskrawej sukience w kwiaty — dosłownie zrównała się ze mną. Postanowiłem wykorzystać okazję. Wychylając się przez otwarte okno zagadnałem:

— Co to dzisiaj za uroczystość?

Mężczyzna chciał odpowiedzieć, lecz jego towarzyszka nie dała mu dojść do słowa.

— To pan nie wie? — zdziwiła się. — Odpust w naszej parafii. A poza tym jeszcze i...

Co jeszcze, tego się już nie dowiedziałem. Samochód jadący przede mną skręcił gdzieś w bok i — przynaglany sygnałem z tyłu — musiałem raptownie przyspieszyć.

Niebawem dotarłem na plac, otoczony różnokolorowym wiankiem pojazdów. Z najwyższym trudem udało mi się wciśnąć w jakąś wolną lukę. Przepychając się przez tłum znalazłem się wśród kramów i straganów, różańców i kolorowych zdjęć papieża, obrazków świętych i medalików na łańcuszkach; pomiędzy lodami, balonikami, zabawkami i cukierkami, w hałasie trąbek i przenikliwym gwiździe glinianych kogutów. Nad tym wszystkim wisiało prawie bezchmurne już niebo i nastroj oczekiwania, który również i mnie się w jakiś sposób udzielił.

Nagle odezwały się dzwony i przy ich wtórze z kościoła otoczonego zbitym tłumem ludzi wyszedł znajomy mi proboszcz w olśniewająco białym ornatcie. Za nim postępował jeszcze jeden, młodszy tym razem ksiądz i kilku ministrantów w komżach.

Ludzie zaczęli klękać, tworząc szpaler, przez który cały pochód przeszedł aż do miejsca, gdzie stał wysoki, drewniany, wkopany w ziemię krzyż.

Tłum również ruszył w tym kierunku,

porywając mnie ze sobą. Zabrzmiała głośna, chóralna pieśń. Dzwony nie milkły. Zrozumiałem, że za chwilę stanę się świadkiem poświęcenia miejsca pod budowę nowego kościoła...

Odczekałem jeszcze jakiś czas i dopiero po około półgodzinie po zakończeniu uroczystości zapukałem do drzwi plebanii.

Otworzył mi młody ksiądz, ten sam, który asystował proboszczowi w trakcie uroczystości, a w którym domyśliłem się wikarego. Miał bladą piegowałą twarz i kręcone rudawe włosy. Gdy zapytałem o proboszcza, rozłożył ręce.

— Niestety — odparł — ksiądz proboszcz musiał niespodziewanie wyjechać. Dosłownie tuż przed rozpoczęciem naszej uroczystej ceremonii otrzymaliśmy smutną wiadomość o śmierci naszego księdza biskupa. No i ksiądz proboszcz musiał pojechać do kurii.

— Czy wiadomo, kiedy wróci?

— Najwcześniej pojutrze rano.

Do tego czasu nie mogłem czekać.

— Czy mogę mieć wobec tego do księdza pewną prośbę?

— To dłuższa sprawa? — zapytał. — Może pozwoli pan do kancelarii?

Wprowadził mnie do znanego już pomieszczenia i wskazał to samo krzesło, na którym siedziałem 24 godziny temu. Od tamtej pory wiele już zdążyło się wydarzyć.

Wyjąłem z kieszeni pokiereszowane okulary.

— Czy to coś księdzu mówi?

Podał mi okulary, a on obrócił je kilka razy, przyglądając się im z uwagą.

— Czy ja wiem... — rzekł wreszcie. — Wydaje mi się, że podobne nosił ongiś nasz organista. Też miały taką charakterystyczną oprawkę. Gdy żartowano na ten temat, Czyżewski z całym spokojem odpowiadał, że to okulary po dziadku i ani myśli ich zmieniać na inne... A o co chodzi? — zainteresował się.

Głos miał wysoki, lekko modulowany, z dobrą dykcją, niezbędną przy wygłaszaniu kazań.

— Znalazłem to w rozpadlinie na Górze Zamkowej.

— O! — zdziwił się. — Można zapytać o jakieś bliższe szczegóły.

— Natrafiłem na nie zupełnie przypadkiem, zwiedzając ruiny zamku — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. — A ponieważ słyszałem o zniknięciu organisty i pokazywano mi jego fotografię, właśnie w podobnych okularach, pomyślałem sobie, że może to mieć jakieś znaczenie... Jeżeli ksiądz ma kartkę papieru, narysuję, gdzie to było.

Podał mi duży arkusz papieru kancelaryjnego w kratkę i własny długopis, którym naszkicowałem z pamięci, najdokładniej jak tylko umiałem, plan ruin na Górze Zamkowej. Krzyżykiem zazaczyłem rozpadlinę, w której znajdował się otwór w murze, prowadzący dalej. Resztę muszą już sobie znaleźć sami.

Ksiądz obejrzał plan i rzekł:

— Jeżeli rzeczywiście są to okulary organisty, sprawa może się okazać poważna... — spojrzał na mnie z namysłem w oczach. — Dlatego może lepiej byłoby wrócić się do milicji...

Pokręciłem głową.

— Przyjechałem z zagranicy w interesach i... proszę zrozumieć, nie bardzo mogę sobie pozwolić na absorbowanie swego czasu czymś innym. Kontakty z policją zresztą nigdzie nie należą do najprzyjemniejszych. Niech księdza nie dziwi, że staram się ich unikać.

Może i nawet się z tym zgadzał, lecz wyraźnie się wahał. Położyłem okulary na biurku.

— Zrobi ksiądz, jak będzie uważał. Ale powtarzam raz jeszcze: absolutnie nie chcę być do tego wmieszany. I wierzę, że mogę mieć do księdza zaufanie. Gdybym myślał inaczej, nie przyszedłbym z tym tutaj.

Wikary poruszył się niespokojnie.

— Wolałbym porozumieć się najpierw w tej kwestii z kieżdem proboszczem. To człowiek z dużym doświadczeniem życiowym i duszpasterskim. Niech on rozstrzygnie, co robić. Czy jednak mogę na wszelki wypadek prosić o pana adres? Może ksiądz proboszcz będzie chciał osobiście się z panem porozumieć?

— Ale pod warunkiem całkowitej dyskrecji. Z powodów, o których już raz

wspomniałem. Nie chciałbym być niepotrzebnie niepokojony.

Zgodził się i zapisał telefon do hotelu „Victoria”.

Podaliśmy mu rękę, zostawiając go w proggu, patrzącego za mną, dopóki całkowicie nie zniknął w odpustowym tłumie.

## V

Na równinie pod zamkiem pojawił się młody Siward i usłyszał dialog:

„Jak się nazywasz?”

„Zadrzysz, gdy usłyszysz”.

„Nie, choćbyś gorsze nazwisko wymienił

Od wszystkich w piekle znanych”.

Przyłożyłem do oczu lornetkę. Dialog trwał.

„... Makbet! Sam szatan nie mógł wyrzec nazwy

Nienawistniejszej dla mojego ucha”.

Twarz nie była mi obca. Znałem ją już wszak z albumu, przeglądanego w Górsku, u Barbary.

„... Kłamiesz, podły zbój!

Zaraz ci zadam fałsz tym mieczem” \*.

Rozpoczęła się walka. Rezultat znalazłem. Nie minie kilka chwil, a Siward padnie, śmiertelnie ugodzony przez Makbeta. Później Makduf zabije Makbeta. Malcolm wezwie rycerstwo na koronację do Skony, zatrzęsczą fotele, a co niecierpliwsi zaczną przeciskać się w stronę wyjścia.

Prawdę mówiąc poszedłbym chętnie ich śladem. W teatrze, choć wypełniony był ledwie w części, panowało nieznośne gorąco.

Rozległ się szcęk mieczy i zduszony okrzyk. Młody Siward osunął się na deski. Scena wykonała półobrót, kryjąc go za kulisami. Rozpoczęła się ostatnia odłona.

Końcowe oklaski szybko przebrzmiały. Grający główne role przesunęli się jeszcze raz przed oczami widowni. W świetle re-

\* William Szekspir: *Makbet* w przekł. Józefa Paszkowskiego.

flektorów ich twarze błyszczały od szminek i potu.

Kurtyna opadła, teatr zaczął pustoszyć.

Wyszedłem w ślad za innymi do obszernego foyer, gdzie na ścianach wisiały kinokarty, a w powietrzu resztki dymu z papierosów. Spojrzałem schody prowadzące w dół oraz drzwi z napisem: „Wejście służbowe. Osobom nie upoważnionym wstęp wzbroniony”.

Nacisnąłem klamkę i w chwilę potem stanąłem twarzą w twarz z lady Makbet. Ubrana w swój sceniczny kostium, stała wraz z grupką innych aktorów w wąskim, skąpo oświetlonym korytarzu z mnóstwem drzwi po jednej stronie.

Aktor grający rolę Makdufa przerwał wygłaszanie jakiejś kwestii i rzucił w moim kierunku:

— Pan z telewizji?

— Niestety, nie — stwierdziłem, zmywając natychmiast uprzejmy wyraz z jego twarzy.

— To czego pan szuka? — zapytał. — Nie wie pan, że tu nie wolno wchodzić?

— Szukam Adama Bolesty. Jestem z nim umówiony.

— Bolesta... Bolesta... — powtórzył. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie umie połączyć nazwiska z właściwą osobą.

— Grał młodego Siwarda — poinformowałem.

Plasnął się w czoło.

— Ach, rzeczywiście, epizod młodego Siwarda! Nawet nie wiedziałem, że dano go jakiemuś Boleście.

Chciał zaakcentować w ten sposób swoją zawodową wyższość, czy rzeczywiście nie wiedział? Gotów byłem iść o zakład, że jednak to pierwsze.

— Ostatnia garderoba w końcu korytarza. Zdaje się, że numer dwadzieścia — powiedziała lady Makbet i całe towarzystwo pogrążyło się ponownie w rozmowie, demonstrując całkowitą obojętność.

Zapukałem pod numer dwadzieścia, a kiedy nikt nie odpowiadał, uchyliłem drzwi. Ujrzałem ciasną klitkę bez okna, gdzie nie mieściła się nawet szafa. Stał tu jedynie wieszak, na którym wisiały męskie spodnie i koszula. Nieco dalej znajdował się wąski, mocno podniszczony stół,

pełen różnych szminek i kremów w tubach.

Pokój był pusty. Już miałem się wycofać, gdy nagle w lustrze na ścianie spostrzegłem za sobą czyjąś postać. Odwróciłem się, by stwierdzić, że nie uległem złudzeniu. Mężczyzna, którego ujrzałem, miał co prawda na sobie rycerską kolczugę, jednakże był bez wątplenia tym samym człowiekiem, którego zdjęcia figurowały w albumie Barbary.

Z ciemnymi, gładko zaczesanymi włosami i przystojną twarzą o regularnych rysach, nie tylko na fotografii, lecz i w rzeczywistości przypominał Alaina Delona. Musiał mieć jednak znacznie mniej szczęścia, talentu lub znajomości niż tamten; skoro jego nazwisko pozostawało nieznaną; jak się zdażyłem zorientować, dawano mu wyłącznie „ogony” i epizody.

Powitał mnie profesjonalnym uśmiechem, który już po krótkiej chwili wydał mi się nieodłączny od jego osoby.

— Przepraszam, że pan czekał. Musiałem wyjść na chwilę, aby się odświeżyć. Pan rozumie, ta walka na miecze w ostatnich akcie... Niby nic, ale wymaga sporej zręczności i wcale niemałego wysiłku... Już jestem do pana dyspozycji. Proszę bardzo...

Przepuścił mnie pierwszego i wskazał jedno z dwóch krzeseł, jakie się znajdowały w garderobie. Sam usiadł na drugim.

— Więc, słucham, co pan chciałby wiedzieć?

— To ja słucham — odparłem nieco zdziwiony. — Przecież to pan chciał się ze mną zobaczyć. Pański znajomy, Jan Brylak z Górska, pokazywał mi metryczkę pewnej interesującej mnie srebrnej rzeźby. Powiedziałem, że chcę to najpierw zobaczyć. Następnie Brylak zadzwonił do „Victorii”, gdzie się zatrzymałem, i przekazał mi wiadomość, żebym się skontaktował z panem. Miałem pójść na *Makbeta*, a zaraz po skończeniu sztuki — za kulisy.

— Ach, tak! — rzekł. — Więc to pan jest tym polskim Austriakiem z Wiednia, a raczej austriackim Polakiem... Pan się nazywa Piotr Walczak?

Potwierdziłem.

— Myślałem, że pan z telewizji, po wy-

— Telewizja się tu na dziś zapowiedziała? — spytałem zaskoczony. Bardzo mi to krzyżowało szyki i dalsze plany.

— Zupełnie nieoczekiwanie. Dowiedziałem się tuż przed spektaklem. Dwa tygodnie temu filmowali *Makbeta* w naszej inscenizacji, podobno do poniedziałkowego teatru telewizji. Teraz potrzebują jeszcze trochę dokrętek do innych programów. Jakies rozmówki, wywiady na temat przyszłych ról i przyszłych planów...

— Koledzy pańscy chyba też czekają na telewizję, widziałem w korytarzu całą grupę — wtrąciłem.

Nieoczekiwanie wybuchnął.

— Zawsze to samo! Będą robić wszystko, żeby wepchnąć się na pierwszy plan, nie dopuścić żadnej nowej twarzy! Żadnej konkurencji, która mogłaby zagrozić ich nazwiskom, ich przyszłym rolom, ich pieniądзом! Bo przecież jest nie tylko teatr. Chodzi o radio, o film, o telewizję. O zaproszenia na występy dla Polonii amerykańskiej i o wyjazdy na zagraniczne festiwale. O szmal i popularność! Więc będą się trzymać pazurami, intrygować, donosić, podkładać tyłki reżyserom a nogi kolegom, byleby tylko samemu jak najdłużej utrzymać się na powierzchni. Byleby nie zapomniano, bo dla aktora zapomnienie to koniec. A kto w tym przeskadza, kto zagraża — tego zgnoić, wykończyć, zniszczyć. Obsadzać w ogonach i bezbarwnych epizodach, pokazać, gdzie jego miejsce, utracić każdą większą rolę... Tak to już u nas jest w tym naszym małym aktorskim piekielku... *pardon*, aktorskim ciepełku...

Wygłaszał swój monolog z pasją i przekonaniem — i z całą pewnością wierzył w to, co mówił. Był ambitny — to można było poznać, przekonany o własnej wartości i pragnący, zapewne bezskutecznie, ją zadokumentować. Ale i zawistny, bezlitosny wobec innych, sarkastyczny obserwator własnego środowiska. Może nawet pozbawiony talentu, bez którego nigdzie się wyżej nie wdrapie.

Z korytarza dobiegł naraz gwar rozmów i odgłos kroków. Ktoś coś prznosił, przedstawiał, ktoś głośno komenderował, gdzie i jak ustawić reflektor. Szurały po po-

dłodze kable. Wyrzesałem i zobaczyłem kilku kamerzystów oraz zaaferowaną reporterkę z mikrofonem.

Zerknąłem na Bolestę. Stał pełen oczekiwania.

— Pójdę już, nie chcę dzisiaj przeszkadzać — zdecydowałem. — Jak można się z panem skontaktować?

Spojrzał na mnie nieprzytomnie, lecz odpowiedział krótko:

— Sam się z panem porozumiem.

— Ma pan mój adres, telefon?

— Janek Brylak mi podał, ale dla pewności jeszcze raz zapiszę.

Znalazł kartkę papieru. Przez chwilę szukał czegoś do pisania. Podałem mu własny długopis.

— Jutro wieczorem się do pana odezwę — zwrócił mi długopis. — Aha, jeszcze jedno... Proszę nie brać tego za dowód braku zaufania, ale chciałbym obejrzeć pański paszport.

Zaskoczył mnie wprawdzie trochę nagłą rzeczowością, lecz ani myślałem oponować. Podałem mu to, czego sobie życzył. Przystudiował dokument uważnie i oddał mi go po chwili.

— W porządku? — zagadnąłem.

Zanim zdążył odpowiedzieć, do pokoju ktoś zapukał i nie było już sensu kontynuować rozmowy.

Przed sobą miałem długi korytarz, jednakże widziałem przede wszystkim jego sufit. Leżałem na wznak, przywiązany do wysokiego metalowego wózka. Jaskrawe światło jarzeniówek raziło mnie prosto w oczy. Naraz ktoś stanął nad moją głową. Poczułem pchnięcie i wózek zaczął toczyć się naprzód, w kierunku dużych, dwuskrzydłowych drzwi. Drzwi otworzyły się, odsłaniając salę pełną ludzi w maskach na twarzach. Jeden z nich pochylił się nade mną. W dłoni trzymał długi, błyszczący lancet. Poczułem ostry ból w brzuchu i usłyszałem przenikliwe dzwonienie.

Dzwonił telefon przy moim łóżku w pokoju hotelowym. Wyciągnąłem rękę po słuchawkę i w tym momencie poczułem, że jednak nie wszystko było snem.

— Proszę chwilę zaczekać — rzuciłem.

Odszukałem wśród swoich rzeczy torebkę z gardanem — jedynym środkiem przeciwbólowym, jaki udało mi się kupić w aptece bez recepty — i zgryzłem tabletkę. Była gorzka jak piołun i nawet nie miałem jej czym popić. Żywiłem jednak nadzieję, że mi pomoże i że na jakiś czas ból przynajmniej trochę złagodnieje.

— Tak, słucham — powiedziałem.

Dzwoniła recepcja.

— Pan Walczak? — upewnił się kobiecy głos. — Jest tu na dole ktoś do pana. Mówi, że nazywa się Koterba. Będzie pan rozmawiać?

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła ósma rano. „Nie za wcześnie czasem na telefon?” — pomyślałem, lecz głośno odpowiedziałem: — Tak, będę.

Koterba jakby czytał mi w myślach, skoro od razu zaczął się usprawiedliwiać.

— Bardzo przepraszam, że tak rano, ale obawiałem się, że później już pana nie zastanę. A ja tu tylko na krótko. Czy mógłby mi pan poświęcić odrobinę czasu w ważnej dla mnie sprawie?

Jeszcze raz zerknąłem na zegarek.

— To trochę potrwa — zapowiedziałem. — Pański telefon obudził mnie.

— Poczekam w hallu — zapewnił i rzeczywiście tkwił tam nieporuszenie, gdy w końcu zszedłem na dół.

Wydał mi się jeszcze chudszy niż przed kilkoma dniami, podczas spotkania na Górze Zamkowej. Pod oczami miał worki jak po nie przespanej nocy. Mimo wczesnej pory nosił ciemny, źle skrojony garnitur, który wisiał na nim jak na tyczce.

Zaproponowałem hotelową kawiarnię, jednakże odmówił.

— Wolałbym porozmawiać na osobności. Pogoda dziś ładna, może przeszlibyśmy się do Ogrodu Saskiego?

Zerknąłem na laskę, którą trzymał przewieszoną przez rękę, lecz nie zaprotestowałem.

Ogród mieliśmy zresztą dosłownie o krok. Przed Grobem Nieznanego Żołnierza stali nieruchomo wartownicy. Za arkadami rozlewało się morze zieleni.

— Dawno pan w Warszawie? — zagadnąłem wykorzystując moment, kiedy sznur

samochodów zagroził nam przejście na drugą stronę.

— Od wczoraj — odparł Koterba. — Dzięki uprzejmości pana Janka zabrałem się samochodem z nim i panią Basią...

To była dla mnie prawdziwa niespodzianka. Telefonując w sprawie rzeźby świętego Jerzego Brylak ani słowem nie zająknął się na temat wyjazdu do Warszawy.

— Na długo? — spytałem niby od niechcienia.

— Oni podobno na parę dni. Ja niestety muszę wracać już jutro.

Weszliśmy między wysokie drzewa. Krople wody z fontanny opryskiwały delikatną mgłą kamienne posągi i spadały do wielkiej konchy. Po stawie pływało stadko ciemnopiórych kaczek, po alejkach biegały dzieci i psy.

Jakiś biały pudel trącił mnie nosem i zaczął przymilnie merdać resztką ogona. Przypomniał mi się pies z Góry Zamkowej.

— Jak tam pański Kuba? — zagadnąłem.

— A, już dobrze, łapa całkiem się zrosła. Trochę jeszcze tylko kuleje. Ale, ale, pan pewnie nie wie, co się stało. Otóż tamtego dnia na Górze Zamkowej szalał i biegał po lesie, po skałach, aż mu się wreszcie łapa gdzieś zaklinowała. No i złamał ją sobie. Biedna psina. Wył i piszczał z bólu, że mało serce nie pękło. A zięć tak się tym przejął, że popędził z góry jak szalony, aby tylko jak najszybciej zawieźć Kubę do weterynarza.

— Przy okazji zaś — zauważyłem skromnie — o mało mnie nie rozjechał...

Cała scena na szosie stanęła mi znów przed oczami.

— To było nieumyślne... Zięć był taki zdenerwowany... Nie widział...

Zirykowałem się.

— Umyślnie czy nieumyślnie, tylko trochę brakowało, a żeby mi sprawiono piękny pogrzeb... Jakbym tak poszedł na milicję...

— Ja właśnie w tej sprawie — rzekł ugodowo stary aktor. Rozejrzał się za jakąś wolną ławkę, na którą klapnął z westchnieniem ulgi. Postawił obok siebie la-



skę i wyjął z kieszeni marynarki niewielką paczuszkę, owiniętą papierem.

— To dla pana — oznajmił, kładąc mi paczkę na kolanach. — W skromnym rewanżu razem z gorącymi przeprosinami ze strony mojej i zięcia. A także z prośbą, ażeby pan zapomniał o tym niefortunnym zdarzeniu... Jeżeli zięć miałby za to odpowiadać — dorzucił po chwili — byłaby to całkowita ruina dla naszej rodziny. Na pewno zabrano by mu prawo jazdy, a bez samochodu nawet nie mógłby marzyć o dalszym prowadzeniu kiosku na Górze Zamkowej. Moja emerytura to stary portfel, a córka wychowuje dwójkę dzieci; nigdzie nie pracuje...

W zamyśleniu zacząłem odwijać papier, w którym owinięte było jakieś pudełko. Otworzyłem je. Na aksamicie wewnątrz leżał piękny srebrny ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej. Wyrusząc na zbrojne wyprawy rycerze zawieszali sobie ongiś takie ryngrafy na piersiach, nosili na zbrojach lub pod nimi. One miały ich chronić od złej przygody i wszelkiego nieszczęścia, zapewniać szczęśliwy powrót do domu. Wiele kolejnych pokoleń ofiarowywało potem ryngrafy w różnych intencjach, zawieszając je w kościołach jako wota. Niektóre przechodziły z pokolenia na pokolenie, chronione w domach niczym najcenniejsze rodzinne pamiątki.

Ten datowałbym na koniec dziewiętnastego wieku. Ważył jednak sporo, a wykonanie zdradzało dobrą artystyczną robotę. Werset, wygrawerowany na awersie, głosił: *Santa Maria, ora pro nobis. Wacław, Anna.*

— Proszę to potraktować jako skromną rekompensatę z naszej strony — rzekł Koterba. — Tak, tak... — wziął ode mnie ryngraf, umieścił ponownie w pudełku i wcisnął mi je w dłoń. Widząc moje wahanie, dodał: — Proszę się nie obawiać. To autentyk, żaden falsyfikat. I nie kradzione. Kupiłem ten ryngraf jeszcze mieszkając w Warszawie od pewnego znajomego introligatora.

— Introligatora? — powtórzyłem nie bez zdziwienia. Przypomniałem sobie Zycha, którego znalazłem z dziurą w pier-

siach w domu w Pustelniku. Nosił taki właśnie przydomek.

Zrozumiał mnie inaczej.

— Wiem, wiem, pisano o nim w gazetach, że to paser, ale nie wierzę. Prawdą jest natomiast, że rzeczywiście miał sporo sreber. Podobno pochodził z zamożnej rodziny i stopniowo wyzbywał się resztek rodzinnej kolekcji, złożonej właśnie głównie ze sreber. Niestety — nie żyje. Pewnie pan czytał, pisano na ten temat niedawno. Ktoś go zamordował. Ale kto i dlaczego? I co się stało ze wszystkimi srebrnymi przedmiotami, skoro ich nie znaleziono?

— Też bym chciał wiedzieć — oświadczyłem. — Do mnie również dotarło, że posiadał niezłe zbiory... To właśnie jego polecił mi w Wiedniu pewien znajomy — dodałem. — On też miał mnie skontaktować z kimś w Górsku w sprawie srebrnych lichtarzy.

Ręce Koterby zacisnęły się mocniej na rękojęści laski.

— Pan go znał? Znał pan Kazka Zycha? — zapytał.

— Za dużo powiedziane. Kontaktowałem się z nim telefonicznie — odparłem. — Było to chyba tuż przed jego śmiercią. Zapraszał mnie pół żartem pół serio do jakiegoś domu w Pustelniku. Do domu, w którym straszny — jak mi oznajmił. Parę dni później przeczytałem, że tam właśnie znaleziono jego zwłoki.

— Ale zapewne pan nie wie, że ów buddynek należał kiedyś do mnie i że to właśnie ode mnie Zych go odkupił?

— Od pana? — zapytałem z niedowierzaniem. — Nie, skądże miałbym o tym wiedzieć?

— To dziwne. Ludzie w Górsku mają długie języki. Skoro tylko dowiedzieli się z gazet o morderstwie, zaczęto do tego dorabiać niestworzone historie. Doszło nawet do mnie, że to jakoby ja sam miałem zastrzelić tego biedaka podczas sporu o pieniądze, które mi się należały z racji tej transakcji...

Obserwowałem mnie badawczo, jakby sprawdzając, czy i ja gotów byłbym w to uwierzyć.

— Tymczasem nie ma w tym żadnej ta-

jemnicy. Zych po prostu odkupił ode mnie całą posesję wraz z nie wykończonym budynkiem. I to za wyjątkowo niską cenę. Co prawda skończyło się to dla niego fatalnie, ale — patrząc na całą rzecz z boku — nie zrobił wówczas złego interesu.

Po co właściwie mówił mi to wszystko? Nie umiałem tego rozgryźć.

— Byłem którymś z rzędu nabywcą tego budynku — kontynuował — i oczywiście nie wierzyłem w żadne duchy. Ale nie mogłem znaleźć żadnego fachowca, który podjąłby się dokończenia budowy. Sprowadzałem różnych — uciekali jeden po drugim, mówiąc o tajemniczych odgłosach i niewytłumaczalnych zjawiskach. Nie wierzyłem, dopóki sam pewnego wieczoru... Ale mniejsza o to, nie będę panu zabierał teraz czasu... Postanowiłem w każdym razie sprzedać parcelę. Wspominałem o tym różnym osobom, także Zychowi. To właśnie przy wzajemnych rozliczeniach finansowych dostałem od niego ten ryngraf — dodał.

— A Zych nie żywił podobnych jak inni obaw?

— Wyśmiewał je, choć jak się w końcu okazało — niesłusznie. Jednak myślę, że skusiła go głównie cena. Mówiłem już, była naprawdę śmiesznie niska. Zależało mi na tym, żeby ten dom sprzedać jak najszybciej. Zresztą już wtedy planowałem wyjazd do Górską. Teraz wiem, że podjąłem słuszną decyzję. To przeklęty dom. Zresztą Zychowi również nie udało się dokończyć budowy...

Podniósł się z ławki.

— Strasznie się człowiek zasiedziało, nogi mi zeszytywniały.

— Kłopoty z krążeniem? — zapytałem wstając.

— I to, i starość, lecz przede wszystkim starość. Człowiek przechodzi przez życie tak szybko, że nawet się nie obejrzy, a już jest po drugiej stronie.

Zaczął iść, wspierając się na lasce. Rzeczywiście był w znacznie gorszej formie niż jeszcze niedawno na Górze Zamkowej.

Na stawie królowało nadal stado kaczek, ale część ptaków dreptała, kołyszając się, po trawiastym brzegu. Inne porozsia-

dały się tworząc skupiska ciemniejszych plam.

Koterba przystanął.

— Piękna pogoda dzisiaj.

Odwrociłem wzrok od kaczek.

— A może Zychowi wcale nie zależało na dokończeniu tej budowy? — spytałem. — W gazecie pisano, że budynek miał opinię nawiedzonego przez duchy i ludzie omijali go z daleka. Czasem takie odosobnienie i izolacja bywają sprzyjającą okolicznością...

Koterba widać utracił wątek.

— O czym pan właściwie mówi? O jakie sprzyjające okoliczności chodzi?

Trochę mnie speszył.

— Dom, w którym straszy... Nie przepuszcza pan, że komuś, kto posiada kolekcję cennych sreber, mogło zależeć na kryjówce, która byłaby zarazem i bezpieczna, i łatwo dostępna w razie potrzeby? Sam pan przecież mówił, że Zych wyzywał się tych przedmiotów, że je sprzedawał. Musiał więc od czasu do czasu po nie sięgać...

— Miał sejf w domu, sam mi o tym wspomniał.

— W sejfie wszystko się nie zmieści. Poza tym włamywacze nie śpią i nawet najlepsze domowe sejfy mogą okazać się zawodne. Natomiast tutaj... Gdyby tak na przykład — rozważałem głośno — Zych zrobił skrytkę w domu, o którym kursuje w okolicy opinia, że jest nawiedzony przez duchy? Chociażby pod betonową posadzką w garażu czy w piwnicy? Wystarczy wykopać głębszy dół, wybetonować boki, a w stropie zamontować stalową płytę, ukrytą pod powierzchnią i niewidoczną dla nie wtajemniczonego. Jeżeli jeszcze dodać jakiś przemyślny szyfrowy zamek, kryjówka byłaby zupełnie bezpieczna.

Koterba uśmiechnął się z politowaniem.

— Ależ pan ma wybujałą fantazję!

Ból, który pod wpływem gardanu opuścił mnie na krótko, wrócił, paraliżując chęć jakichkolwiek działań. Wziąłem kolejną tabletkę i położyłem się na wznak na łóżku, czekając aż lekarstwo zacznie

działać. Następnie wykręciłem numer recepcji i zapytałem o lekarza.

— Jakiej specjalności? — chciała wiedzieć recepcjonistka. — Internista, chirurg, okulista?

Zdecydowałem się na internistę.

— Zależy panu na pośpiechu?

Przytaknąłem.

— Najszybciej dostanie się pan do kórejś ze spółdzielni lekarskich — oznajmiła, podając mi telefony kilku z nich.

Wykręciłem pierwszy numer i usłyszałem informację, że jeśli sprawa jest pilna, mogę przyjechać za godzinę.

Z najwyższą niechęcią wstałem z łóżka i zacząłem się przygotowywać do wyjścia, gdy zabrzączał telefon.

Dzwonił Adam Bolesta. W tle słyszałem jakieś hałasy, których pochodzenie natychmiast sam mi wyjaśnił.

— Mówię z teatru — oznajmił. — Mamy przerwę w próbie. Umówiłem się z panem co prawda na wieczór, ale właśnie wyszedł ode mnie Szczęsny Koterba, który mi powiedział, że dopiero co widział się z panem i że najpewniej zastanę pana teraz w hotelu.

— Szczęsny Koterba? — zdumiałem się.

— Ach tak, zapomniałem... pan przypuszczalnie zna go pod imieniem Feliks. W teatrze jednak, odkąd pamiętam, zawsze był Szczęsnym, to zresztą po prostu spolszczenie. Przepracował tu wiele lat i wpada teraz przy każdej nadarzającej się okazji, kiedy uda mu się wyrwać z Górska do Warszawy.

„Więc stary aktor — pomyślałem — zdążył już dotrzeć do teatru i spotkać się tam z Bolestą”. Nie powinien mnie to co prawda dziwić — w końcu obaj mimo dość znacznej różnicy wieku byli ludźmi teatru a może łączyły ich również więzy sympatii. Ale czyż sam Koterba nie powiedział, że natura obdarzyła mnie wybujałą fantazją?

— Czy może zaszło coś nieprzewidzianego? — spytałem, pamiętając o niedawnej rozmowie ze kulisami na temat srebrnej rzeźby świętego Jerzego.

— O tyle, o ile — odpowiedział enigmatycznie. — Tylko że to rozmowa nie na telefon. Czy mógłby pan może wpaść

choć na parę chwil do teatru? Sprawa jest pilna, a problem polega na tym, że mamy teraz próbę nowej sztuki i absolutnie nie mogę wyjść.

— Właśnie wybieram się do lekarza. Za godzinę muszę być w przychodni.

— Za godzinę? — powtórzył. — Ależ zdąży pan! Z całą pewnością. Myślę, że wszystko razem nie zajmie nam więcej niż dziesięć, piętnaście minut. Może nawet mniej. Zaczynamy teraz próbę dwóch ostatnich odsłon pierwszego aktu, potrwa to nie więcej niż dwadzieścia minut. Potem będzie przerwa. Będę na pana czekać.

Obliczyłem, czy mi wystarczy czasu i po namyśle zgodziłem się.

Parkowałem właśnie samochód nie opodal teatru, kiedy spostrzegłem Barbarę, która opuszczała ów szary w świetle dziennym i pospolicie wyglądający budynek. Natomiast ona sama kwitła. Jej twarz była zaróżowiona, oczy błyszczały, a w jasnoniebieskiej sukience wyglądała jak chaber na polu. W jednej chwili zapomniałem o poprzednich urazach. Wychyliłem się przez okienko i pomachałem ręką.

— Dzień dobry, widzę, że samo przeznaczenie chciało, żebyśmy się znowu spotkali!

Zatrzymała się z miną obrażonej księżniczki.

— Co tu właściwie robisz? Byłaś może w teatrze? — zagadnąłem.

— To moja sprawa! — ucięła opryskliwie. Widać było aż nadto wyraźnie, że nie ma ochoty na dalszy dyskurs.

— A co porabiasz w Warszawie?

— Wyjeżdżam za granicę — poinformowała. — Na wycieczkę do Włoch. Jutro wieczorem odlatuję z Okęcia.

— Chętnie cię odprowadzę — zaofiarowałem się.

Wzruszyła ramionami.

— Miejsca na tarasie jest dosyć. Zmieścisz się...

Uśmiechnęła się kpiąco i zostawiła mnie przed teatrem samego.

W teatrze czekał już na mnie Bolesta. Tym razem nie nosił kolczugi, lecz białą trykotową koszulkę, także spodnie i miękkie dziurkowane buty. Wyglądał jak tenisista, wybierający się na kort.

Korytarz, w którym się znaleźliśmy, przypominał ten z mojego niedawnego koszmarnego snu o szpitalu. Miał zimno-niebieskie ściany i posadzkę, ułożoną z czarno-białych kafelków.

Bolesta zatrzymał się przy dużym, trój-skrzydłowym oknie o szerokim parapacie. Stłumionym, konspiracyjnym szeptem zapytał:

— Bardzo pan zależy na tym świętym Jerzym?

— Bo ja wiem... — odparłem — ... trudno powiedzieć, skoro jeszcze nawet go nie widziałem.

Zapewne spodziewał się takiej odpowiedzi.

— Bo, widzi pan, sprawa cokolwiek się skomplikowała. Znalazł się zdecydowany reflektant...

Dziwnym skojarzeniem pomyślałem o Barbarze, która nazajutrz odlatywała do Włoch. I o tym, że za srebrną rzeźbę świętego Jerzego być może płaci się w Rzymie więcej niż w Wiedniu.

— Rozumiem. Sprawę możemy uważać za nieaktualną.

— Właśnie. Mam jednak dla pana ciekawszą propozycję. Podobno interesują pana żydowskie srebrne menory...

To była wreszcie wiadomość, na którą czekałem. Nie mogłem jednak ani przez chwilę zdradzić, jak bardzo mi na tym zależy.

— I owszem, mam nawet konkretne zamówienie od pewnego bogatego wiedeńskiego przemysłowca...

— A ja będę miał prawdopodobnie dziś wieczorem dwa takie świeczniki. Koniec dziewiętnastego wieku, pełna secesja. Dużo różnych zdobień, ornamentów. No i waga — sześć i pół kilo każdy! Czy pan sobie wyobraża?

Rzeczywiście odebrało mi głos. Przez dobrą chwilę zastanawiałem się, co powiedzieć.

— Kiedy będę mógł to zobaczyć?

— Nawet dzisiaj, chociaż właściwie mógłby je pan brać w ciemno. Nie ma tam nic podrobionego. To podobno świeczniki z jednej z krakowskich synagog. Może pan być całkowicie pewien autentyczności.

— Co pan proponuje?

— Będę czekał o dziesiątej wieczorem przed rotundą PKO na Marszałkowskiej. Wie pan, gdzie to jest?

Przytaknąłem.

— Stamtąd pojedziemy do mnie. Jeżeli się dogadamy, jutro dostanie pan świeczniki, a ja — gotówkę.

— Co pana interesuje: dolary?

— Mogą być dolary, marki albo franki szwajcarskie. Przyjmuję każdą walutę, byleby solidną.

Roześmiał się, ja też.

— Zapamiętam — obiecałem i na tym na razie rozstaliśmy się.

Lekarz, który mnie badał, zalecił mi dietę lekkostrawną oraz szereg badań, które powinienem obowiązkowo i szybko przeprowadzić. Zaopatrzony w plik recept i skierowań pojechałem na Dworzec Centralny. Miałem do załatwienia pewien telefon, a wolałem nie dzwonić z hotelu.

Zanim znalazłem się w kabinie telefonicznej na poczcie dworcowej, rozejrzałem się. Nie zauważyłem jednakże nic podejrzanego. Na dworcu panował zwykły ruch.

Grube drzwi odcięły mnie od nawoływania podróżnych i zapowiedzi, płynących przez megafon. Podniosłem słuchawkę.

— Mówi Piotr... — powiedziałem.

W recepcji czekała na mnie kartka z wiadomością, że jestem proszony o pilne porozumienie się z podanym poniżej numerem telefonu w Górsku.

Był to, jak się okazało, numer telefonu owego młodego wikarego, z którym rozmawiałem tuż przed wyjazdem. Sam wikary najwyraźniej oczekiwał przy aparacie, skoro odezwał się natychmiast, gdy tylko dostałem połączenie.

— Tak, to ja — potwierdził — ja dzwoniłem do pana.

— Czy coś się stało? — zapytałem.

— Odnaleziono organistę Czyżewskiego... Niestety, nie dane mu już będzie zagrać kiedykolwiek na organach w naszym kościele. Nie żyje. Według milicji został zabity strzałem w głowę z pistoletu.

— Gdzie i kiedy to się stało? — zapy-

tałem. — Czy już wiadomo coś więcej?  
— Nic poza tym, że jego ciało odkryto w rozpadlinie na Górze Zamkowej, w miejscu, gdzie pan poprzednio znalazł rozbite okulary.

W jego głosie brzmiała nieufność, która nie mogła mnie dziwić w tej sytuacji.

— Zwłoki znajdowały się w podziemnym lochu, do którego wejście zasypano ziemią i gruzem tak dokładnie, że gdyby ziemia się nie osunęła po deszczach, nikt by się nawet nie domyślał jego istnienia... Milicja uważa — dodał po chwili — że organista Czyżewski został zabity jakieś dwa lata temu, prawdopodobnie w tym samym czasie, a może i nawet tego samego dnia, kiedy miała miejsce kradzież w kościele. Wcale niewykluczone, tak przynajmniej tutaj się mówi, że zaskoczył przestępców, a może nawet poznał któregoś z nich, więc go zabili... Ten biedak — westchnął — nie miał nikogo na świecie. Siłą rzeczy milicja zwróciła się do księdza proboszcza i do mnie o rozpoznanie... Zwłoki były już jednak w takim stanie, że można je było poznać tylko po ubraniu. Teraz podobno prowadzą dalsze badania... Aha, i jeszcze jedno: w ustach miał knebel z czarnego materiału. Też zachowały się z tego tylko zbutwiałe resztki.

— Dziękuję za wiadomość — powiedziałem. — Przykro mi z powodu śmierci tego człowieka, ale mam nadzieję, że jego morderca zostanie wykryty.

— Ja właśnie w związku z tym — rzekł wikary, a w jego głosie zabrzmiało zakłopotanie. — Pamiętam oczywiście, o co mnie pan prosił. Jednakże wobec takiego obrotu sprawy... Sam pan rozumie... Nie mogę dochować tajemnicy.

— Rozumiem — zgodziłem się — i nie mam pretensji.

— Cieszę się, że pan tak uważa — powiedział z wyraźną ulgą. — Podałem milicji pańskie personalia i adres hotelu.

— Kiedy ksiądz im to podał? — zapytałem. To mnie teraz najbardziej interesowało.

— Trochę się zdziwił.

— Dopiero co. Zadzwońm do pana natychmiast po ich wyjściu.

Odetchnąłem z ulgą. Miałem więc jeszcze pewien zapas czasu.

Rozsunąłem gałęzie choinek i przyłożyłem do oczu lornetkę. Ciemne chmury nad horyzontem stworzyły posępne obramowanie samotnego domu z czerwonej cegły, pozbawionego drzwi i okien.

Wszystko zdawało się trwać bez zmian — jak wówczas, gdy byłem tu po raz pierwszy. I kiedy w piwnicy tego nie wykończonego budynku odkryłem zwłoki introligatora Zycha z dziurą od kuli w piersi.

Z szosy, biegnącej nie opodal sosnowego zagajnika, doszedł odgłos nadjeżdżającego samochodu. Jechał szybko i równie gwałtownie zahamował. Nie zatrzymał się jednak, a tylko znacznie zwolnił i skręcił. Wtedy go zobaczyłem.

Było to szare daihatsu, które miękko kołysało się na wybojach drogi. Mniej więcej w połowie tej drogi wznosiła się duża przyzma, usypana z resztek gruzu, ziemi i cegieł. Gdzieś tam, jak mogłem dojrzeć przez lornetkę, wystawały ze środka długie pogięte pręty zardzewiałego żelastwa. Podobne walały się wokół, w trawie i chwastach obrastających drogę.

Wóz zahamował. Spostrzegłem, że kierowca usiłuje wyminąć nieprzewidzianą przeszkodę. Skręcił początkowo w prawo, następnie w lewo — i naraz ugrzązł wśród wykrotów. Słyszałem warkot silnika, pracującego na najwyższych obrotach. Nagle ucichł. Po krótkiej przerwie znów się odezwał. Zauważyłem, że się cofa, usiłując powrócić na drogę. Była ona jednak usypana wyżej i od reszty pola oddzielał ją dość głęboki rów.

Samochód cofał się nadal, aż do miejsca, gdzie droga schodziła się ze ścieżką, zagłębiając się w środek zagajnika. Przechodząc się wśród gałęzi wjechał w las.

Błyskawicznie rzuciłem się na ziemię, starając się uczynić niewidocznym. Moment nieuwagi mógł mnie drogo kosztować.

Przez chwilę leżałem bez ruchu, wdychając zapach igliwia i trawy, która rosła na skraju lasu. Spodziewałem się, że wóz

pojedzie dalej, w kierunku szosy, jednakże niespodziewanie zawrócił i po chwili ujrzałem go znów na drodze, prowadzącej w stronę nie wykończonego budynku.

Tym razem był już jednak ostrożniejszy i zatrzymał się na kilka metrów przed przymą. Chociaż znajdował się w pewnej odległości ode mnie, widziałem go stąd stosunkowo dobrze, sam pozostając nie zauważony.

Usłyszałem trzaśnięcie drzwiczek. Wolno podniosłem głowę i zobaczyłem Adama Bolestę.

Tym razem nosił szorty i długą, obszerną bluzę. W rękę trzymał duży turystyczny worek. Przez dłuższą chwilę rozglądał się wokół, czujnie nasłuchując. Zacząłem się obawiać, że przyjdzie mu do głowy zagłębić się w las i wtedy niechybnie mnie znajdzie, a cały mój plan weźmie w łeb.

Przylgnąłem mocniej do ziemi. W zagajniku panowała cisza, w której słyszałem jedynie śpiew ptaków i bicie własnego serca.

Nagle jednak doszedł mnie inny odgłos. Był to dźwięk otwieranego bagażnika, z którego Bolesta wydostał zwój grubej liny.

Jego postać rzucała długi cień na drogę. Zachodzące słońce oblewało wszystko czerwienią, w której ów opustoszały dom, straszący ciemnymi oczodolami okien, mógł rzeczywiście przypominać siedzibę złych duchów. Gdy jednak słońce zaszło, a ostre kontury domu zatarły się, wrażenie zniknęło.

Zniknął również Bolesta. Wszedł na schody, prowadzące na ganek, gdzie jeszcze raz się obejrzał, lustrując okolice. Widać nie zauważył nic podejrzanego, skoro postąpił jeszcze parę kroków i wszedł do środka.

Wyszedłem z zagajnika prosto w wysokie badyle, zeschnięte od słońca i zbiełałe od przydrożnego kurzu, który wciskał się w gardło. Ziemia była ubita, twarzą jak klepisko i wydawało mi się, że odbija każdy mój krok głuchym łoskotem. Wyprostowałem się dopiero na tyłach budynku. Ostrożnie zajrzałem w ciemny otwór na parterze. Ujrzałem prostokątne

pomieszczenie o ścianach z surowej cegły, bliźniaczo podobne do tego, w którym już raz byłem.

Cicho jak kot wspiąłem się po szorstkim murze i równie cicho zeskokczyłem z okna do środka. Spod desek, przykrywających legary stropu, sączyło się światło i dochodziły odgłosy stukania.

Odsunąłem jedną z desek, tworząc większą szparę, przez którą zajrzałem do środka. Zobaczyłem głęboką piwnicę. Na sznurze, zwisającym ze stropu aż do podłogi, wisiała duża latarka, oświetlając odsuniętą żelazną płytę i spory, prostokątny otwór.

Bolesta stał również w kręgu światła, pochylony nad skrytką. Jego długi cień załamywał się na ścianie w pokracznie wykrzywioną postać.

Zanim się zdecydowałem, co dalej, wypadki same potoczyły się naprzód.

Niespodziewanie usłyszałem szum nadjeżdżającego samochodu. Trzasnęły zamknięte drzwiczki.

Nie było chwili do stracenia. Nie zastanawiając się wyskoczyłem przez otwór w murze, który kiedyś, w przyszłości, miał być zapewne oknem, i skryłem się w kąpie bzu za domem. Póki co, musiałem robić wszystko, aby mnie nikt nie dostrzegł.

Rozległy się czyjeś pośpieszne kroki. Ktoś wchodził po schodach ganku.

Powoli rozchyliłem gałęzie. Kroki zaszurały we wnętrzu domu i raptownie ucichły. Na dworze już się ściemniło i wszystko ogarnął szary zmierzch.

W tym momencie poczułem nagły ból. Był tak przeraźliwie ostry, że zrobiło mi się czarno przed oczami. Przez moment myślałem, że zemdleję. Siłą powstrzymałem się, ażeby nie krzyknąć. Ręką zatkałem sobie usta i mocno ugryzłem się w wierzch dłoni. Bezradnie zacząłem szukać po kieszeniach gardanu, wiedząc dobrze, że nie wziąłem ze sobą ani tabletki.

Zgiąłem się w pół i tkwiłem tak nieruchomo jakiś czas, czekając, aż atak minie. Po pierwszej fali bólu nadeszła następna, ale ta była na szczęście słabsza. Opuściłem się na kolana i chyłkiem zacząłem okrażać budynek.

Ziele i chwasty, które tu rosły w wyko-

pach, pozostałych po fundamentach, zasłaniały mnie niemal całkowicie. Szczeliny skruszonego betonu schodów, prowadzących na ganek, rozsadał perz. Nie opodał, na drodze, wznosiła się znana mi przyzma gruzu. Za przyzmą stało szare daihatsu, a dalej jeszcze jeden samochód.

Był to czerwony polonez z rejestracją pozawarszawską. Od razu go poznałem. To właśnie ten wóz wyjechał naprzeciw furgonetce, która pędziła prosto na mnie szosą z Góry Zamkowej. W nim Brylak częstował mnie kawą z termosu i demonstrował metryczkę srebrnej figury świętego Jerzego. A teraz spotkałem go tutaj.

Zatrzymałem się nasłuchując. Nad domem wisały ciemne, niskie chmury. Po drugiej stronie nieba pokazał się anemiczny rąbek księżycza.

Nie dane mi było jednak delektować się wieczornym spokojem. Odgłos, który nagle doszedł z wnętrza domu, spowodował, że jednym susem znalazłem się na ganku. Spostrzegłem znajome schody, wiodące na piętro, a także — dopiero teraz — pogruchotane resztki stopni, które kiedyś prowadziły w dół, do piwnicy.

Deski zastępujące podłogę zachwiały się i zatrzęszczały. Z dołu wynurzył się Bolesta. W jednej chwili domyśliłem się źródła hałasu. Musiało go spowodować zamknięcie płyty nad skrytką w piwnicy.

Trzymając się liny aktor zręcznie wdrapał się na żelazny legar. Tu wyprostował się i postawił obok siebie duży wypakowany worek.

— Bolesta — odezwał się naraz czyjś głos — cóż to, chciałeś robić interesy beze mnie?

Ze schodów, prowadzących na górę, na piętro, zszedł mężczyzna w ciemnej chustce na szyi. Ukryty nadal za załomem ganku poznałem Brylaka.

Bolesta znieruchomiał, a następnie obrócił się powoli.

— Skąd się tu wzięłeś? — zapytał sucho.

— Przyjechałem po prostu za tobą.

— Śledziłeś mnie?

— Można to i tak nazwać.

— Więc po to właśnie przyjechałeś z Górska do Warszawy?

Brylak roześmiał się nieprzyjemnym, zgrzytliwym śmiechem.

— Skoro szykuje się jakaś grubsza transakcja, pomyślałem, że i mnie nie powinno przy tym zabraknąć — wskazał wypełniony worek. — Widzę, że się nie pomyliłem. To Zycha, co? Jak tylko przeczytałem w gazetach, że nasz znajomy inroligator dostał kulkę w piersi, od razu pomyślałem o tobie. Mówiąc szczerze od dawna to mu się należało. Ten cholerny paser dawał grosze za rzeczy warte grube tysiące i jeszcze robił wielką łaskę, że w ogóle coś bierze — kopnął jakąś zmurszałą deskę, której kawałek odłamał się i z trzaskiem spadł na dół. — Sprytnie wypatrzyłeś skrytkę — powiedział tonem pełnym podziwu. — I pomyśleć, że glińiarze pewnie dotąd się zastanawiają, gdzie się znajdują wszystkie srebro. A one przez cały czas leżały sobie spokojnie tutaj, pod podłogą piwnicy. Wystarczyło tylko odczekać, aż sprawa przyschnie i glińy stracą zainteresowanie tym terenem, by po nie sięgnąć... — poprawił sobie chustkę na szyi. — Ile daje ten Walczak i co mu w końcu sprzedamy: świętego Jerzego, czy może żydowskie świeczniki, do których tak się palił?

Bolesta drgnął, jakby obudził się z głębokiego zamyślenia.

— My? — przeciągnął. — Nie pamiętam, żeby tym razem była mowa o jakiejś spółce.

— A jednak! — powiedział z przekonaniem Brylak. — Proponuję uczciwe zasady: pół na pół. Jak w Górsku. Chyba jeszcze pamiętasz?

— W Górsku to było zupełnie co innego — odparł szybko Bolesta. — Gdyby ten głupi organista nie ściągnął ci chustki z szyi i rozpoznał po bliźnie, nie trzeba byłoby go zabijać.

— *Fifty-fifty* — powtórzył Brylak. Nadal stał w pewnej odległości od Bolesty, gotowy, jak mi się wydawało, w każdej chwili odskoczyć.

Bolesta pochylił się i zaczął odwiązywać worek. Niespodziewanie sięgnął ręką do kieszeni bluzy i wyciągnął pistolet...

Jednym susem znalazłem się tuż przy nim. Myślałem, że go zaskoczę i obalę na

ziemię, lecz zdążył na czas odskoczyć i stanął tuż przy Brylaku.

— Bolesta — rozkazałem — rzuć broń i stań tyłem do ściany, z rękami do góry. Ty również — wskazałem lufą swojego pistoletu na Brylaka. — Dom jest otoczony. Jesteście bez szans. Jeżeli nie wierzycie, zaraz was przekonam. — Włączyłem mini-mikrofon, który wziętem jadąc na spotkanie. Odezwał się głos: „Tu czwórka, tu czwórka, słucham...” Wyłączyłem aparat. — No, więc jak?

Brylak wpatrywał się we mnie z prawdziwym osłupieniem. Wyglądał tak, jak gdyby naprawdę zobaczył ducha. Natomiast Bolesta od razu wszystko zrozumiał.

— Ty kapusiu! — rzucił z nienawiścią i patrząc mi prosto w twarz przyłożył lufę pistoletu do skroni Brylaka. — Teraz weźmiesz swoje *walkie-talkie* i powiesz wszystkim glinom, żeby się zmydlili. I to szybko, słyszysz? — trącił lufą głowę Brylaka. — Inaczej z jego mózgu zostanie mokra plama. Zresztą nie będzie go specjalnie szkoda. Obrabował kościół w Górsku i zabił organistę.

— To nieprawda! — wykrzyknął Brylak. — To on właśnie zastrzelił organistę! Ja nikogo nie zabiłem!

— Zamknij się — powiedział z pogardą Bolesta — bo cię rozwałę już teraz. A ty — zwrócił się do mnie — bierz swój aparacik i powiedz, żeby mi tu za chwilę było zupełnie pusto w okolicy.

— Tu Piotr — powiedziałem do mikrofonu obserwując Bolestę, który wciąż trzymał pistolet przy głowie Brylaka — wszystkie radiowozy: odjazd z miejsca akcji! To rozkaz — wykonać!

— Dobrze się spisałeś — pochwalił mnie Bolesta. — A teraz oddasz mi grzecznie swój pistolet i swój radiotelefon i równie grzecznie wyjdiesz przede mną.

— A on? — zagadnąłem wskazując na Brylaka.

— Nie bój się. Zostawimy go tutaj. Ze strachu nawet nie wyjrzy na dwór. Ty go zastąpisz. Z lufą pistoletu na karku będziesz wyglądał wcale gustownie. No i czy to nie zabawne, że ktoś taki jak ty, rzekomy marszand z Wiednia, w rzeczywi-

stości głupi tajniak, będzie tym, który zagwarantuje mi bezpieczeństwo?

— Nie taki on głupi — odpartem, siłąc się na spokój — skoro dałeś się nabrać i wciągnąć w tę grę. Uwierzyłeś, że szukam żydowskich świeczników, które znajdowały się w skrytce Zycha i złakomiwszy się na spodziewane dolary postarałeś się, by jak najszybciej mi je dostarczyć. A tymczasem my odkryliśmy już ten schowek wcześniej i tylko czekaliśmy, aż przyjdzie właściwy człowiek. Ten, który zna wartość skrytki i który zamordował Zycha po to, ażeby dobrać się do sreber. To była właśnie ta pułapka, która tu na ciebie czekała. A zresztą — wzruszyłem ramionami — choćbyś nie wiem co teraz wyprawiał, i tak daleko nie uciekniesz. Nie zmienisz twarzy i nie zdołasz się schować tak, żeby cię szybko nie znaleźć.

— Nigdy nie wiadomo, dla kogo skończy się szybciej! — wykrzyknął porwoczno. — Rzuć broń! — przynaglił widząc, że się ociągam. — Żebym nie musiał za długo czekać! I bez żadnych kawałów! — ostrzegł.

Rzuciłem pistolet na ziemię.

— Bliżej! — zażądał. — Kopnij go w moim kierunku!

Nie spuszczać ze mnie oka przyciągnął broń i schował do kieszeni. Swoją pistolet nadal trzymał w ręku, przyłożony do skroni Brylaka. Odnosiłem wrażenie, że gra przede mną rolę swojego życia.

— A teraz *walkie-talkie*! — powiedział, a kiedy zrobiłem, co kazał, rozdeptał za furią aparat. Następnie zakomenderował: — Obróć się tyłem!

Poczułem chłód metalu na karku.

— No i naprzód! — rozkazał.

Zostawiliśmy Brylaka i wyszliśmy na ganek, skąd prowadziły stopnie w dół.

Spojrzałem przed siebie, jednakże na dworze stały jedynie czerwony polonez i szare daihatsu. Poza tym nie było widać śladu żywego ducha.

— Prędzej! — rzucił. I dodał: — No, masz prawdziwe szczęście, że twoi kumple cię posłuchali i nie zostawili w krzakach paru snajperów. Ładnie byś teraz wyglądał! Gdyby się stąd nie zmyli, byłbyś już trupem.



W jego głosie brzmiała chępliwosć, jednakże nie miałem powodu mu nie wierzyć. W końcu miał już niejedną okazję dowieść, do czego jest zdolny.

Przerzucił broń do lewej ręki, lecz nadal trzymał ją wylotem lufy tuż przy mojej szyi. Prawą sięgnął do kieszeni po kluczyki do wozu. Otworzył drzwiczki i kazał mi usiąść za kierownicą.

Spojrzałem pytająco.

— Rób, co ci każę! — krzyknął.

Raptownie poderwałem splecione ręce do góry, wytrącając mu z ręki pistolet, który wypalił w szybę samochodu, rozstraskując ją na drobne, raptownie zmatowiałe kawałki i upadł z głuchym odgłosem na maskę silnika.

Bolesta nie zdążył już sięgnąć po broń. Byłem szybszy. Ruchem szczupaka rzuciłem się na niego i ciosem karate uderzyłem go w kark. Krzyknął i osunął się bezwładnie na ziemię.

Kajdankami, które miałem ze sobą, przemocowałem dłonie Bolesty do kierownicy. Następnie zdjąłem mu pasek, który miał przy szortach, i spętałem nim mocno obie jego nogi w kostkach. Odzyskał już przytomność, ale patrzył na mnie mętym wzrokiem i nic nie mówił.

Z kieszeni jego bluzy wyciągnąłem swój pistolet. Otworzyłem drzwiczki samochodu, wyskoczyłem i pod ich osłoną, pamiętając o Brylaku pozostawionym w nie wykończonym budynku, wyciągnąłem rękę po broń, która nadal leżała na masce samochodu, tuż za rozbitą szybą. Dopiero tak uzbrojony wstałem i zawołałem głośno w stronę domu:

— Brylak! Wychodź natychmiast! Inaczej sam po ciebie przyjdę!

Dom stał milczący, nikt nie odpowiadał.

Było już prawie ciemno. Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Cofnąłem się do wozu i włączyłem długie światła. Jaskrawe smugi reflektorów oblały front budynku.

— Brylak! — powtórzyłem. — Słyszysz mnie? Wiem, że tam jesteś! Opór jest bezsensowny.

Cofnąłem się za samochód i chyłkiem wyostałem się poza smugę światła. Liczyłem, że tym sposobem zmylę Brylaka.

Jeżeli spojrzę w tę stronę, oślepi go światło reflektorów. A kontrast z panującą wokół ciemnością sprawi, że moja sylwetka stanie się niewidoczna. Tak dostanę się niepostrzeżenie na tyły budynku.

Pobiegłem ile sił w nogach i zatrzymałem się dopiero pod otworem okiennym. Po raz drugi w ciągu ostatnich kilku godzin wspiałem się po murze i znowu znalazłem się wewnątrz.

Odblask reflektorów dochodził aż tutaj. Cicho prześliznąłem się przez wyrwę w ścianie. Ostrożnie, z plecami przy murze, ażeby nikt nie mógł mnie niespodziewanie zaskoczyć, obszedłem pomieszczenie, z którego prowadziły schody na górę.

Nie było nikogo. Nie było także ani latarki, którą tu wcześniej widziałem, ani wypełnionego worka, wyniesionego z piwnicy przez Bolestę.

Oderwałem się od ściany i jak najciszej, na czubkach palców, zacząłem się wspinać po schodach.

Brylak stał w jednym z pomieszczeń na piętrze, odwrócony do mnie plecami, na wpół wychylony na zewnątrz.

— Brylak — powiedziałem, trzymając go na muszce pistoletu. — Podnieś rękę i stań pod ścianą!

W tym momencie zaszło coś nieoczekiwanego. Brylak wyprostował się i nagle... zniknął mi z oczu. Rozległ się jęk i ciężki łoskot, który drgał mi jeszcze w uszach, gdy zbiegałem po schodach.

Pałące się nadal reflektory daihatsu zaświeciły mi w oczy. Brylak leżał jednak z drugiej strony budynku, z nienaturalnie podkurczonymi nogami.

Uklękłem obok i dopiero wówczas zauważyłem zwój liny oraz wyładowany worek. Mogłem się domyślać, co zaszło. W chwili, gdy go zaskoczyłem, Brylak prawdopodobnie opuszczał w dół worek ze srebrami. Zapewne omotał wówczas linę wokół przegubów, ażeby w ten sposób utrzymać łatwiej ciężar. Podnosząc rękę musiał się wyprostować i wtedy ciężar worka ściągnął go w dół.

Ręką namacałem puls. Choć słabo, bił jednak. Sam Brylak był przytomny, tylko nie mógł się podnieść i nic nie mówił. Podejrzywałem, że znajduje się w stanie

szoku. Ale nie sposób było stwierdzić, jakie odniósł obrażenia. Wydawało się, że ma uszkodzony kręgosłup. A skoro tak, w żadnym wypadku nie powinno się go stąd ruszać, zanim nie zbada go lekarz.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła ósma. Przypomniałem sobie rozmowę telefoniczną, prowadzoną z kabiny na Dworcu Centralnym i pochyliłem się jeszcze raz nad Brylakiem. Obszukałem mu kieszenie i wyjąłem kluczyki od samochodu. Następnie spróbowałem unieść worek ze srebrem. Był piekielnie ciężki, więc go po prostu powlokłem za sobą po ziemi.

Przed pierwszym z wozów, szarym daihatsu, w którym pozostawiłem Bolestę, zatrzymałem się. Otworzyłem drzwiczki samochodu na całą szerokość, zapaliłem światło we wnętrzu i pokazałem Boleście worek.

— Przypatrz się — oznajmiłem — to wszystko będzie teraz moje. Wszystkie te srebra. Musisz przyznać, że były warte fatygi. Mówiłem już — takie rzeczy idą na Zachodzie jak woda, za ciężkie pieniądze.

Zerknąłem z ukosa sprawdzając, czy słucha. Jednakże na jego twarzy odbijała się jedynie bezsilna wściekłość. Niezrażony ciągnąłem dalej:

— Zapakuję to teraz do samochodu Brylaka. Patrz — zakołysałem kluczykami — o tym również pomyślałem. A ciebie i Brylaka zostawię tutaj. Nie martw się — pocieszyłem go — nie potrwa to długo. Wkrótce na pewno ktoś się tu po was zgłosi. Sam się postaram, abys się za bardzo nie niecierpliwił — spojrzałem znów na zegarek. Wskazówki zbliżały się do godziny ósmej. Jeżeli chciałem zrealizować swój plan do końca, musiałem się pośpieszyć. — Pistolet, z którego, jak się domyślam, zastrzeliłeś dwóch ludzi, też do trzede tam, gdzie powinien. Przynajmniej odpadnie kłopot z dowodem rzeczowym. Będzie jak znalazł w procesie o morderstwo... pardon, co ja mówię, o dwa morderstwa. A ja, no cóż — będę już wówczas daleko. Bezpieczny i całkowicie spokojny o los sreber.

Widziałem, jak zaciskają się jego szczę-

ki, lecz w jego oczach nie było cienia strachu.

— Tak to już bywa — dodałem — że jeśli toczy się jakaś gra, ktoś wygrywa, ktoś inny musi przegrać. Ty jesteś dziś tym przegranym. A wiesz dlaczego? Bo cię zawiodły nerwy. Uwierzyłeś bez zastrzeżeń w bajeczkę o dzielnym tajniaku, o milicji, która otoczyła dom i radiowozach gotowych do akcji — no i wpadłeś w panikę. Tymczasem wystarczyło tylko wmontować w radiotelefon przygotowaną odpowiednio wcześniej kasetę magnetofonową z odpowiednio też nagranyymi głosami, żebyś dał się nabrać. Więc nawet nie bardzo wiem, po co z taką furią rozdeptałeś ów całkowicie niewinny aparat. I po co ci była ta cała czarna komedia z moją skromną osobą w roli zakładnika, skoro to właśnie mnie chodziło o to, ażebyś nie zrobił niepotrzebnie użytku ze swojego pistoletu? Kto wie bowiem, czy gdybyś przez przypadek nie zorientował się, jak sprawy naprawdę stoją, nie wpadłoby ci do głowy zużyć na mnie trochę amunicji?

Bolesta zagryzł wargi.

— Słuchaj — wykrztusił zduszonym głosem. — Naprawdę trudno mi się w tym wszystkim polapać. Ale jeżeli rzeczywiście nie jesteś gliniarzem, zawsze możemy się dogadać. Zych to był partacz i amator, działał na małą skalę. Teraz interes mógłby się rozkręcić, z obopólną, rzecz jasną, korzyścią...

Potrząsnąłem głową.

— Nic z tego, nie ufam ci. Załatwiłeś organistę i Zycha, a pewnego dnia i ze mną mogłoby się stać to samo.

Mimo wszystko nie zrezygnował i podjął jeszcze jedną próbę przekonania mnie.

— Organista to przypadek. Nie było innego wyjścia. Wiedzieliśmy, że po wyjeździe proboszcza tylko on i wikary mają klucze od kościoła, od kaplicy z figurą świętej Barbary i od szafki pancernej z krucyfiksem. Brylak wybadał to dość dokładnie przez swoją siostrę, która utrzymywała znajomość z Czyżewskim. Zaplanowaliśmy, że zaczekamy w kościele aż do momentu, kiedy któryś z nich

przyjdzie z kluczami. Wtedy go ogłuszymy, zabierzemy klucze, weźmiemy co trzeba i ulotnimy się. Tymczasem Czyżewski, zamiast wejść głównym wejściem, poszedł na chór wewnętrznymi schodami od zakrystii i zaczął tam grać na organach. Grał i grał, a w nas aż się wszystko przelewało. Lada moment mógł zjawić się ktoś zwabiony muzyką. Cały nasz plan wzięły wówczas w łeb. Tymczasem Zych czekał w Warszawie na srebra, które musiały być nazajutrz przerzucone za granicę, bo właśnie nazajutrz odjeżdżał tam wóz TIR-u ze specjalną skrytką. Zadecydowałem więc: nie ma co dłużej czekać, trzeba wejść na chór i tam załatwić Czyżewskiego. Tak zrobiliśmy. Jednego tylko nie przewidzieliśmy. Że się niespodziewanie odwróci. Obaj mieliśmy na twarzach maski z pończoch, a więc od razu się połapał, w czym rzecz. Krzyknął i zaczął uciekać w stronę schodów do zakrystii. Nie mogliśmy pozwolić, by mu się udało. Dostał w głowę i potoczył się po stopniach w dół. Byliśmy przekonani, że stracił przytomność. Tymczasem kiedy Brylak pochylił się nad nim, chcąc go związać i zakneblować, ten nagłym ruchem zerwał mu chustkę z szyi, odsłaniając bliznę... Nie wiedzieliśmy, czy go po niej poznał, ale też i nie mogliśmy sobie pozwolić nawet na cień ryzyka. Nikt na naszym miejscu nie postąpiłby inaczej.

— Strzeliłeś mu prosto w głowę, zamykając mu usta raz na zawsze...

— O, nie, nie w kościele. Ktoś mógłby usłyszeć strzał, zostałyby ślady krwi, milicja od razu by się połapała, a po co, skoro można było wymyślić daleko lepsze wyjście? Na przykład zniknięcie organisty razem ze srebami. Każdy głupi skojarzy sobie te dwa fakty, zwłaszcza jeśli jeszcze podsycać tego rodzaju wiadomości — w jego głosie zabrzmiała wyraźna przechwałka. — A nam gwarantowało to daleko większe bezpieczeństwo i odsunięcie wszelkich ewentualnych podejrzeń. Jak się potem okazało, miałem rację. Nawet milicja, ta nasza dzielna, sprawna milicja, też się nabrała, przekonując wszystkich wokół o udziale organisty w kradzieży.

— Więc gdzie go w końcu załatwiłeś? —

zainteresowałem się. — Na Górze Zamkowej?

— Tak — przyznał. — Najpierw związaliśmy go i zaknebowali, żeby nie mógł się poruszyć ani pisnąć słówka. Potem zabraliśmy mu klucze od kaplicy ze świętą Barbarą i od tabernakulum z krucyfiksem. A kiedy srebra także już były nasze, wynieśliśmy je razem z organistą na wcześniej przygotowany drewniany wózek, który przeczornie zostawiliśmy wieczorem pod kościołem. Nie zwracał niczyjej uwagi. W razie czego Brylak miał powiedzieć, że właśnie dostał towar do kawiarni i tak go transportuje. Zresztą od kościoła do kawiarni nie było wcale tak daleko. W garażu przy kawiarni stał już polonez Brylaka. Zostawiliśmy srebra, a do bagażnika zabraliśmy organistę... Niewiele się w nim już chyba zresztą wówczas życia kołatało — dodał bez specjalnego współczucia. — Zawieźliśmy go na Górę Zamkową... Brylak dobrze znał ten teren, wiedział o niejednym podziemnym lochu. Znaleźliśmy więc taki loch... Strzału oczywiście nikt nie słyszał, bo i kto by tam chodził nocą, o takiej porze? Potem zawaliliśmy wejście do lochu ziemią i gruzem i pojechaliśmy po srebra. Kilka kilometrów za Górką czekał już na nie mój samochód, a nazajutrz znalazły się u Zycha, w domu pod Pustelnikiem. Nocą pojechały dalej, w TIR-owskiej skrytce.

— Jubiler jak zwykle sprawnie zorganizował przerzut, co? — zauważyłem.

Spojrzał na mnie z ukosa.

— Dużo wiesz. Trochę szkoda, że nie poznałem się na tobie wcześniej.

— Nie żałuj — zapewniłem. — Bo czy nie przyszło ci czasem do głowy, że to właśnie ja współpracowałem z Zychem i Jubilerem, odbierając od nich za granicą towar? Przez twoje idiotyczne zagrywki, a zwłaszcza przez zabicie Zycha rozwaliłeś cały latami montowany kanał przerzutowy i ściągnąłeś na wszystkich milicję.

— Ja? — zachnął się. — A dlaczegoż to niby ja nie miałbym zastąpić Zycha? Myślisz, że będę od niego gorszy? Na pewno nie! Zresztą Zych to łajdak. Robił majątek kosztem takich jak ja frajerów, którzy dostarczali mu kradziony towar. Pła-

cił im grosze, a sam zbijał fortunę. Nie dziwi się więc, że pewnego dnia zdruzgotało mi się to wreszcie i sam postanowiłem się zająć całym interesem.

— A do tego potrzebny był przede wszystkim odpowiedni kapitał w postaci sreber, ukrytych w domu pod Pustelnikiem przez Zycha — wpadłem mu w słowo. — Myślę, że go zwabiłeś do tego domu pod byle jakim pretekstem. Okazał się nie dość ostrożny... Znalazłeś przy nim klucze do mieszkania i do warsztatu, gdzie również mogło się znajdować coś wartościowego. Zostawiłeś więc ciało Zycha w piwnicy, a sam wróciłeś do Warszawy. Penetrowałeś akurat warsztat, gdy zadzwoniłem i odebrałeś telefon nie chcąc, żeby odkryto zbyt wcześnie nieobecność Zycha. Podałeś się na niego, co nie przyszło ci zbyt trudno. Nabrałem się na to, ty zaś postanowiłeś to wykorzystać. Teraz z kolei mnie wysłałeś do domu pod Pustelnikiem. Zaczaiłeś się tam na mnie i kiedy się zjawiłem, wykorzystując ciemność i moją niezajomość terenu i samego domu, zepchnąłeś mnie na dół, do piwnicy, gdzie leżał trup Zycha. Następnie szybko zawiadomiłeś milicję, usiłując zrobić kogoś innego w popełnione przez siebie morderstwo. Dobrze mówię?

Zupełnie machinalnie skinął głową.

— No, więc widzisz, a tego ci właśnie nie mogę darować. Gdybym nie wy dostał się, zanim przyjechały gliny, już bym siedział. Dlatego nasze role się odwracają; ty tu zostajesz, a ja się ulatniam ze srebrami, które mi się w tej sytuacji słusznie należą, za które nie zapłaciłem złamanego szylinga. Teraz ja jestem górą. Przysłę ci z Wiednia widokówkę z pozdrowieniami. Umili ci czas w więzieniu!

Zatrzasnąłem drzwiczki samochodu i zamknąłem je jeszcze dla pewności na zamek. Następnie przeniosłem pospiesznie worek ze srebrami do bagażnika poloneza. Już siedząc za kierownicą wychyliłem się przez okienko i pomachałem Bolescie ręką.

— Baw się dobrze! — zawołałem i zapuściłem silnik. Obejrzałem się jeszcze raz. Fasadę domu oblewało nadal jaskrawe światło reflektorów. Za chwilę pozosta-

wiłem to wszystko za sobą. Wyjechałem na szosę.

Wówczas przyszedł najgorszy atak. Ostatnie, co zobaczyłem, to była czerń lasu. Ledwie zdążyłem zjechać na pobocze i tam się zatrzymać.

Kiedy się ocknąłem z krótkotrwałego omdlenia, spowodowanego ostrym atakiem bólu, przy samochodzie hamował milicyjny radiowóz. Z drugiego radiowozu, który zatrzymał się obok, wyskoczył wysoki mężczyzna w milicyjnym mundurze z dystynkcjami kapitana. Zbliżył się, zasalutował i rzekł:

— Poproszę o dokumenty, panie kierowco.

Sięgnąłem do skrytki i w tym momencie uświadomiłem sobie, że nie jestem przecież w swoim wozie, lecz w polonezie Brylaka.

— Niestety zapomniałem — odparłem.

— Proszę wobec tego do radiowozu — rozkazał milicjant.

Milcząc wykonałem polecenie. Dopiero kiedy znaleźliśmy się w samochodzie i miałem już całkowitą pewność, że jesteśmy sami, powiedziałem szybko:

— Wezwijcie natychmiast karetkę. Z tyłu, za domem, leży ranny. Wypaść z okna. Na moje rozeznanie — uszkodzenie kręgosłupa, wołałem go więc nie ruszać, póki nie przyjedzie lekarz.

Kapitan podniósł słuchawkę radiotelefonu i połączył się z pogotowiem ratunkowym. Podał szczegóły i odkładając słuchawkę rzekł do mnie:

— Już wyjeżdżają.

Dopiero wtedy uściśnął mi dłoń.

— Cześć, Piotr — powiedział. — Do końca incognito i nie rozszyfrowany, co?

— Cześć, Maciek — odparłem. — Taki to już mój los, sam wiesz najlepiej. Zawsze trzeba ciągnąć do końca... Dlaczego się spóźniliście? — spytałem z wyrzutem. — Mieliście być przecież punktualnie o ósmej. Taka była umowa.

— Ugrzęźliśmy na zamkniętym przejeździe kolejowym, stąd opóźnienie — wyjaśnił. — Były jakieś komplikacje?

— Były. Spodziewałem się, że będę miał

do czynienia z jednym człowiekiem, a tymczasem zjawilo się dwóch. Pierwszy to ten ranny, niejaki Jan Brylak z Górsku. Ma na swoim koncie kradzież sreber z kościoła w Górsku i współuczestnictwo w zamordowaniu organisty Czyżewskiego, a pewnie i różne inne sprawy. Drugiego znajdziecie w jego własnym samochodzie, zaraz na prawo, na drodze. Nie bój się — uspokoiłem go, widząc, że się podrywa — przykułem go kajdankami do kierownicy nie ma mowy, żeby mu się udało wyswobodzić. To Adam Bolesta, aktor. A tu — wyjąłem z kieszeni broń — dostarczam ci dowód rzeczowy; pistolet, z którego zabił on organistę kościoła w Górsku, a potem Kazimierza Zycha. I jeszcze jedno: w bagażniku poloneza jest worek ze srebrem ze skrytki w piwnicy. Reszta należy do was.

— Zrobiłeś kawał niezłej roboty — zauważył.

— Ale to nie ja przecież odkryłem skrytkę ze srebrami, zamaskowaną pod podłogą w piwnicy w domu pod Pustelnikiem, gdzie znajdowały się między innymi żydowskie świeczniki — zauważyłem skromnie. — Nie ja wymyśliłem, że właśnie w ten sposób można zastawić pułapkę na mordercę Zycha. Nie ja odkryłem, że srebrna figura świętej Barbary, skradziona w kościele w Górsku, miała być sprzedana na aukcji w Wiedniu. Nie ja doszedłem, idąc tym tropem, do zorganizowanej siatki przemytniczej, kierowanej przez Jubilera, współpracującego z kierowcami ciężarówek TIR-owskich, którymi przewożono srebra. Do powiązań, łączących Jubilera z paserem Kazimierzem Zychem. Nie ja zaproponowałem, ażeby rozszyfrować tę całą grupę oraz mechanizmy jej działania poprzez „wtyczkę” w postaci przybyłego z zagranicy Piotra Walczaka. W końcu wszystko mi dostarczono: paszport, białego porsche'a, numer skrytki na wiedeńskiej poczcie, koszule i garnitury prosto z Kaertner Strasse, a nawet pobyt w Wiedniu dla podszlifowania języka i uwiarygodnienia przyjazdu do Polski. Byłem jedynie wykonawcą. Wszedłem do akcji dopiero wówczas, gdy wszystko już zostało przygotowane.

— No, no — powiedział — nie ujmuj znów tak sobie. Całą resztę sam już musiałeś tworzyć. A przy tym nikt nie mógł przecież przewidzieć zabójstwa Zycha, z którym miałeś się skontaktować. Pomyśl, jak nam to pokrzyżowało plany. Nie było także łatwych sposobów porozumiewania się, aby cię nie zdekonspirować. Przypomnij sobie, że nawet kiedy odkryłeś zwłoki organisty, musiałeś skorzystać z pośrednictwa wikarego, aby nas jakoś o tym powiadomić.

— To prawda — stwierdziłem — jeden fałszywy krok, a byłbym spalony... Tego właśnie najbardziej się obawiałem.

— Nie próbowali cię sprawdzać? — zainteresował się.

— O, tak, próbowali — odparłem. Przypomniałem sobie zasadzkę na Górze Zamkowej, przygotowaną zapewne przez Brylaka, który wolał wcześniej upewnić się o autentyczności mojego paszportu. A potem noc w domu Barbary. Przez chwilę zastanawiałem się, jak dalece była we wszystko wtajemniczona. Przypomniałem też sobie spotkanie z Brylakiem na Górze Zamkowej, podczas którego poddał mnie swoistemu testowi wiarygodności i znawstwa przedmiotu, demonstrując metryczkę srebrnej figurki świętego Jerzego. Musiałem widocznie wówczas nieźle wypaść, skoro Brylak mi uwierzył i skontaktował wkrótce z Bolestą. Ten zaś w przewidywaniu korzystnej transakcji wybrał się do domu pod Pustelnikiem, ażeby opróżnić skrytkę ze srebrami, w której znajdowały się i żydowskie menory. W ślad za nim zjawił się jednak i Brylak...

Mogłem snuć jeszcze dłużej rozmyślenia na ten temat, gdyby czas nie naglił. Jeżeli już miałem grać swoją rolę konsekwentnie do końca, musiałem stąd jak najprędzej zniknąć.

Maciek wysłał drugi radiowóz po Bolestę. Sam wysiadł z mną i wspólnie opróżniliśmy bagażnik poloneza. Przenieśliśmy worek ze srebrami do radiowozu ustalając, na którym parkingu pozostawię wóz Brylaka oraz gdzie będą do odbioru kłuczyki...

Natychmiast po powrocie do „Victorii” zająłem rachunku i zacząłem się pako-

wać. Mimo że prawie przez cały dzień nie miałem nic w ustach, nie czułem głodu. Jedynie narastające zmęczenie. Doszedłem do wniosku, że mocna kawa powinna postawić mnie na nogi.

W połowie drogi do baru poczułem jednak, że nogi mam jak z waty. Poczułem także znany mi już rozdzierający ból wewnętrzności. Resztką sił dowlokłem się do jakiegoś fotela, na którym przesiedziałem zgięty w pół aż do chwili, kiedy zabrano mnie do szpitala.

---

## VI

---

Ktoś dotknął mojego policzka, ktoś inny uniósł rękę, której nie miałem siły samodzielnie utrzymać. W kwadracie okna jak przez mgłę zobaczyłem drzewa, chwiałe się w podmuchach wiatru. Poczułem suchość w ustach i ostry, pulsujący ból, który wypełniał wewnętrzności.

— Pić! — zażądałem.

— No i patrzcie — powiedział jakiś głos — człowiek ledwie wrócił z tamtego świata, a już by się czegoś napił!

Usłyszałem tubalny śmiech i ujrzałem nad sobą mężczyznę ze swego snu. Tak jak tamten nosił biały fartuch i maskę zsuniętą na szyję.

„A więc śnieć” — pomyślałem zamykając oczy.

— Jeszcze się pan zdąży wyspać — powiedział człowiek w białym fartuchu. Przysiadł na łóżku, biorąc mnie za rękę. — No — rzekł po chwili — szczęście tym razem panu sprzyjało. Trafił pan na stół dosłownie w ostatniej minucie. Pański wyrostek był w takim stanie, że jeszcze trochę, a nie bardzo miałbym co kroić.

— Wyrostek? — spytałem zdumiony.

— Klasyczny — oznajmił lekarz z zawodową satysfakcją w głosie. — Ostry ropny stan zapalny, grożący w każdej chwili perforacją i rozlanym zapaleniem otrzewnej. O, wtedy to naprawdę mogłoby być po panu! Dlatego mówię: głowa do góry! Teraz na pewno szybko się pan z tego wykaraska. Ale, u licha, dlaczego

pan z tym aż tak długo zwlekał? Nie miał pan ataków?

— I owszem — przyznałem. — Brałem wtedy gardan i ból na jakiś czas przechodził.

Z niedowierzaniem pokręcił głową i wyszedł.

Patrzyłem, jak krople przezroczystego płynu spływają wolno w dół, prosto do żyły w zgięciu łokcia. Na przysuniętym do łóżka stojaku wisiała butelka, na której odczytałem napis: „Glucosum”.

Za drzwiami rozległy się czyjeś ciche, pospieszne kroki. Do pokoju wsunęła się pielęgniarka, niosąc metalową tacę, na której dzwoniła strzykawka i jakieś lekarstwa. Pielęgniarka była nieprzyzwoicie młoda. Miała zgrabne nogi, a na głowie biały, sztywny czepek z czarnym paskiem, spod którego wysuwały się ciemne, prawie granatowe włosy.

— A teraz zrobimy panu zastrzyk, po którym nie będzie bolało — oznajmiła. Postawiła tacę na krześle i pochyliła się nad łóżkiem. Zapach jej perfum przypomnieli mi Barbarę z kawiarni „Szarotka” w Górsku. I wieczór, kiedy jechaliśmy na Górę Zamkową.

Naraz wydało mi się to zamierzchnią przeszłością, którą pogrzebię w pamięci wraz z zakończeniem tej historii.

Nawet nie poczułem ukłucia.

— Już — powiedziała pielęgniarka i zabrała się razem ze swoją tacą. Zostałem sam. Uniosłem z trudem głowę i powiodłem dokoła oczami.

Pokój, w którym się znajdowałem, był zwykłą standardową salą szpitalną, w której stały dwa łóżka. Tylko moje było zajęte.

W nogach łóżka wisiała metalowa tabliczka z wsuniętą w jej ramki kartą choroby. Jeden z jej rogów wysunął się i zwiślał teraz krzywo. Zapewne widniało tam moje nazwisko: Piotr Walczak. I wiek: 37 lat. Dane, spisane z paszportu, który wzięto ode mnie w szpitalnej izbie przyjęć.

Do pokoju znów wsunęła się czarnowłosa pielęgniarka. Podając mi termometr, oznajmiła:

— Był tutaj jakiś pański znajomy. Gdzieś zapisałam jego nazwisko — znalazła w kieszeni fartucha kartkę papieru. — O, mam, Koterba. Powiedział, że nazywa się Feliks Koterba i żebym panu przekazała, że wczoraj miał do pana jakąś sprawę, lecz nie zastał pana po południu w hotelu. Wieczorem dzwonił jeszcze raz i powiedziano mu, że jest pan w szpitalu.

— Nie mówił, czego chciał?

— Nie.

Kazała mi wyjąć termometr.

— Aha, byłabym zapomniała. Zostawił coś dla pana. Jakąś gazetę, zdaje się, „Express Wieczorny”. Proszę się o nią u mnie upomnieć jutro. Będzie pan już silniejszy i minie niebezpieczeństwo zakażenia.

Dostałem gazetę tak jak obiecywała — nazajutrz. Na pierwszej stronie rzucił mi się w oczy duży tytuł: *Srebrna afera na Podhalu przyćmi sławę „Czerwonej Oberży”*. Poniżej biegł tekst: *Prokuratorzy z Bratysławy i Dolnego Kubina przekazali informację, że w Czechosłowacji zatrzymano kilkunastu obywateli CSRS, którzy pełnili rolę kurierów, przemycając srebro przez teren Czechosłowacji do Austrii. Jak ustalono w śledztwie, srebro to było prze-*

*mycane na teren Czechosłowacji z Polski w specjalnych skrytkach. Następnie kurierzy przemycali je do Wiednia. W ten sposób przemycono z Polski do Austrii co najmniej 5 ton srebra w sztabkach, prętach, biżuterii, zastawach stołowych, a także w przedmiotach sztuki sakralnej — za sumę co najmniej 2 milionów dolarów. Dotychczas wiadomo jedynie, że tak zwany „polski ślad” to grupa 13—15-osobowa, znana jedynie z pseudonimów. Śledztwo trwa.*

Miałem nad czym rozmyślać. Na przykład nad pytaniem, dlaczego akurat Koterba dostarczył mi gazetę z tym artykułem? I jaka była właściwie jego rola w tej całej historii?

Dotychczas nie zastanawiałem się bowiem, jak właściwie został odkryty schowek w domu pod Pustelnikiem. Wszak gdyby nie był on znakomicie zamaskowany, z pewnością nie zawierzyliby mu ani Zych, ani Bolesta. Lecz może istniał jeszcze ktoś inny, kto również znał tę tajemnicę?

Spojrzałem jeszcze raz na gazetę z artykułem i pomyślałem, że to przecież właśnie Koterba sprzedał kiedyś Zychowi dom, w którym straszny...

# Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07

W latach 1979—1988 w serii „Ewa wzywa 07”  
ukazały się następujące pozycje:



- 104 Aleksander Gabrusiewicz — Pożyczyć narzeczoną i umrzeć
- 105 Krystyn Ziemiński — Uśmiech fortuny
- 106 Danuta Frey — Hotel „Kormoran”
- 107 Jadwiga Kaflińska — Magiczny papierek
- 108 Helena Sekuła — Ośmiu gwardzistów w czarnych bermudach
- 109 Marek Rymuszko — Sprawa osobista
- 110 Tadeusz Zolnierowicz — Cios za ciosem
- 111 Tadeusz Kwiatkowski — Turysta
- 112 Jan Jerzy Koprowski — Śmierć w samolocie
- 113 Jerzy Romuald Miłcz — Wizyta u zmarłej
- 114 Barbara Gordon — Dolina nocy
- 115 Tadeusz Lembowicz — Śmierć pod Obidową
- 116 Zygmunt Zeydler Zborowski — Śmierć grabarza
- 117 Tadeusz Zenon Bordowicz — Od zmroku do zmroku
- 118 Kazimierz Tkacz — Nikt nie żałował ofiary
- 119 Aleksander Gabrusiewicz — Kwadratura trójkąta
- 120 Maciej Zenon Bordowicz — Jeździec za ogniu
- 121 Stanisław Heleński — Anonim
- 122 Jerzy Edigey — Śladem papierosów „Maracho”
- 123 Andrzej Dziurawiec — Debiut
- 124 Marianna Szymusiak — Millionerka
- 125 Jerzy Siewierski — Opowieść o duchach i gorejącym sercu
- 126 Andrzej Dziurawiec — Inny czas
- 127 Zofia Kaczorowska — Szmaragd dla Agaty
- 128 Barbara Gordon — Błąd porucznika Kwaśniaka
- 129 Albert Wojt — Pan dyrektor jest zajęty
- 130 Wojciech Wiktorowski — Na skraju nizu
- 131 Danuta Frey — Fiat z placu Teatralnego
- 132 Zygmunt Janet — Dzień szósty
- 133 Jerzy Kulczyński — Labirynt
- 134 Andrzej Kakiet — Silniejszy niż śmierć
- 135 Zofia Kaczorowska — Podróż w żałobie
- 136 Wojciech Wiktorowski — Akcja mleczna
- 137 Albert Wojt — Wyrok
- 138 Danuta Frey — Dama ze strusim piórem
- 139 Wojciech Piotr Kwiatek — Za żadne pieniądze
- 140 Zofia Krajevska-Szukalska, Zygmunt Bohdanowicz — Bezpieczny świadek
- 141 Andrzej Strzelezyk — Skok
- 142 Anatol Ulman — Polujący z brzytwą
- 143 Danuta Frey — Zabawa w chowanego
- 144 Helena Sekuła — Noc bliskiego księżycy
- 145 Marianna Szymusiak — Zemsta

ISBN 83-207-1146-0

Cena zł 200,—